Cena 25 zł.

KUŹNICA

Rok IV Łódź, 26 września 1948 r. Nr 39 (160)

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

„Dawniej rozpatrywano rewolucję proletariacką jako wynik wyłącznie wewnętrznego rozwoju danego kraju. Teraz ten punkt widzenia już nie jest wystarczający. Teraz należy rozpatrywać rewolucję proletariacką przede wszystkim jako wynik rozwoju sprzeczności w światowym systemie imperializmu, jako wynik rozerwania w tym czy innym kraju łańcucha światowego frontu imperialistycznego"

Józef Stalin

TREŚĆ NUMERU:

ADAM WAŻYK

KILKA SŁÓW O METODZIE

Na początku był spór o realizm... Ponawiał się kilkakrotnie, już bez pierwotnej siły wybuchowej, w dyskusjach kuźnicowych. Zdaje się, że ostatecznie pogodził wszystkich węgierski marksista Lukacs, którego prace zaczęły się ukazywać w przekładach polskich. Te same sądy o realiźmie, do których docieraliśmy w partyzantce publicystycznej, znaleźliścy u Lukacsa, ujęte w szeroki system. Zaznajomiliśmy się potrosze z radziecką wiedzą o literaturze. Wątpliwości teoretyczne przetarły się, rozproszyły... Ale cóż, kiedy nad całym sporem o realizm zaciążył brak wielkich tradycji rodzimych. Bohaterami skandalu w modernistycznym zaścianku stali się Balzak i Stendhal. Rzadko wspominało się o literaturze angielskiej. Za mało uwagi zwracano na bliższy nam historycznie realizm rosyjski, Lwa Tołstoja czy Gorkiego. Tym skwapliwiej odpowiadano nam, że chcemy cofnąć wiedzę o świecie do czasu pana Birotteau. Nie był to poważny argument. Ale opór tradycji, niezależnie od argumentów, działa poważnie. Tradycje, którym brak wielkiego realizmu, a nie brak popularnej szkoły naturalistycznej, ciążą nad powieścią polską. Utrudnia to orientacje i gmatwa podstawowe zagadnienia literackie.

Jan Kott dojrzał w „Lalce" Prusa bodajże jedyną u nas powieść mieszczańską, która ma cechy wielkiego realizmu. Czytałem pracę Kotta kilkakrotnie, zawsze z taką samą satysfakcją. Rozprawa Kotta wywołała polemikę. Czytałem ją również kilkakrotnie — z coraz to głębszym przygnębieniem. Język marksistów jest nie zrozumiały dla profesorów, docentów, asystentów nauk humanistycznych. Trzeba długiej, przewlekłej walki o metodę. Uderzyło mnie to, że polemika z Kottem równocześnie, choć mimo woli autorów, obdzierała Prusa z cech wielkiego realizmu. Nasza humanistyka posługuje się wieloma instrumentami, ale żaden z nich nie pozwala odróżnić losu klas społecznych od inteligenckich dramatów psychologicznych, obrazu przemian historycznych — od obrazka kamienicy warszawskiej. W tych instrumentach prawda realizmu i pospolite prawdziwostki naturalistów wyglądają jednakowo. Niepodobna spostrzec przysłowiowego słonia. Bo nie należy szukać słonia pod mikroskopem.

Blisko rok temu zastanawiano się w gronie „Kuźnicy", co jest groźniejsze dla rozwoju literatury, poetyka ekspresjonizmu czy „mały realizm" (wolę nazywać to po prostu naturalizmem). Próbowaliśmy od rozmaitych stron podważać zabobony literackie. Ogłoszona w tym czasie rozmowa o powieści, wbrew zgorszeniu pięknoduchów, zrobiła swoje: przestano tak lekkomyślnie entuzjazmować się bezkształtnymi wypowiedziami literackimi, niechęcią do fabuły, nieumiejętnością konstruowania ludzkiego losu w powieści. Złowrogo brzmiący termin „amorficzny" nastraszył panów Jourdains. Ale ta rozmowa faktycznie zwracała się przeciwko ekspresjonistycznej odmianie gustów drobnomieszczańskich. Odmiana naturalistyczna otrzymała ciche rozgrzeszenie. Z perspektywy roku widać, że było to wyraźne ustępstwo na rzecz tych właśnie najbardziej popularnych gustów drobnomieszczańskich, które nie od dziś zadomowiły się również w sferach działaczy kulturalnych.

W stanowisku literackim wyrażało się to w ten mniej więcej sposób: „Mały realizm i naturalizm, chociaż ogranicza i zniekształca pole widzenia, ostatecznie będzie przemawiał na korzyść naszej rzeczywistości". Może takie stanowisko było do przyjęcia dla szerokiego frontu polityki kulturalnej, ale nie dla środowiska, które chce reprezentować awangardową myśl literacką. Myśl awangardowa straciła żar i oziębła, zaczęła rozpływać się w szerokim froncie zgody powszechnej, w powrotnej fali eklektyzmu. Napór był silny — konstrukcje teoretyczne realizmu postarano się w pismach literackich zamazać albo po prostu przekreślić, i jak gdyby nigdy nic, usłyszeliśmy znowu, że realizm to sprawa obróbki materiału, faktury, stylu, że prawdę można ująć rozmaitymi środkami, jak kto woli. Albo ordynarniej: „Odmalować faceta z krwi i kości — to jest realizm!" Wulgarne pojęcie realizmu odnowiło się w krytyce literackiej i nawet w „Kuźnicy" któregoś dnia najczystszej wody naturalista Uniłowski zaawansował na najbardziej realistycznego pisarza lat międzywojennych.

Pomieszały się pojęcia i słowa. Wyrosło nowe nabożeństwo — „metoda socjologiczna". Metoda socjologiczna to taki zwierz co przypomina marksizm, ale zwierz oswojony, bez pazurów i rogów. Wgryza się w zagadnienia kultury, sztuki, literatury, ale nie obnaża podbudowy ekonomicznej i walki klasowej. W badaniach ideologii i zjawisk literackich swoisty lęk przed docieraniem do korzeni przerósł rzeczywiście w pewną metodę, która ma już wyraźne zarysy w publicystyce literackiej. W ciągu trzech lat — to warte zastanowienia — nie wypłynęły w publicystyce literackiej nowe nazwiska wykształcone na marksizmie. Spotykamy natomiast w kręgu „Kuźnicy", „Wsi" i innych postępowych pism literackich wielu nowych młodych krytyków, wkładających dużo zapału w rozważania socjologiczne. Do czego prowadzi i co właściwie daje ta metoda socjologiczna w ocenie zjawisk literackich?

W zakres takich rozważań wchodzą zazwyczaj pewne cechy warstw i środowisk społecznych, kultura obyczajowa, stan pojęć moralnych, stosunek do innych warstw, dyspozycje duchowe wynikające z rodzaju zatrudnienia. Czasami możemy natknąć się na fantastyczne uogólnienia, zmyślone ad hoc cechy środowiska, ale tymi grzechami nie wypada obarczać samej metody. Idzie o jej wartość w najlepszym wypadku, kiedy pod względem doświadczalnym, empirycznym, jakby powiedział Żółkiewski, pod względem sprawdzalności sądów — wydaje się bezgrzeszna. Metoda ta uwzględnia wpływ stosunków ekonomicznych na obyczaje, na typ kultury duchowej środowiska, ale nie dostrzega bazy materialnej, klasowej ruchów umysłowych, ideologii, nie widzi w nich odbicia walki.

W omawianiu zjawisk literackich metoda ta ogranicza się do bezpośredniej konfrontacji danych socjologicznych z postaciami i stosunkami przedstawionymi w utworze. Cała marksistowska wiedza o nadbudowie jest jej niepotrzebna i nie poręczna. Nie widzi w utworze literackim produktu kultury związanego z innymi dziedzinami ideologii, nie uwzględnia swoistych cech wyobraźni literackiej, ani też ciążenia wzorów i tradycji, nie spostrzega, że w utworze literackim wyraża się nie tylko stosunek do rzeczywistości, ale i do tych właśnie tradycji. Metoda ta okazuje się zupełnie bezsilna, jeśli idzie o badanie kompozycji utworu, i zresztą wcale jej nie bada. Zmierzając do bezpośredniej konfrontacji z danymi socjologicznymi, zakłada cichaczem, jako miernik prawdy literackiej — przeciętność, tuzinkowość postaci, średnią arytmetyczną cech środowiska, zgodność statystyczną.

Lądujemy znowu na drobnym, wulgarnym realizmie. Mamy jeszcze jedną odmianę miary drobnomieszczańskiej. Wraca upiorne sakramentalne pytanie: „Czy tak bywa, jak autor przedstawił?" Socjolog odpowiada: „Zbadałem. Tak bywa". I wszystko się zgadza.

Ale my wiemy, że nic się nie zgadza. Nie bywało Vautrina, ani Juliana Sorela, nie bywało Anny Kareniny, u żadnych Artamonowych nie bywali stróże, którzy by kilkadziesiąt lat milczeli, aby wypowiedzieć swoją nienawiść dopiero w dniach rewolucji. Tak nie bywa, ale za to tak jest — mówi nam paradoks realizmu wbrew statystycznej prawdzie socjologii stosowanej. Ale nie wracajmy do początku, aby ciągle powtarzać rzeczy wiadome, nie raz już roztrząsane.

Chciałem tylko przypomnieć, że na początku był spór o realizm... I wyszedł Uniłowski na następcę Prusa.

Na początku było wołanie o rozumne myślenie, o sprawdzalność sądów... I stawił się na apel rozumnie myślący drobnomieszczański empiryzm.

Adam Ważyk

MIECZYSŁAW JASTRUN

PIOSENKA DLA JEROZOLIMY

Z Betleem idą pułki, śmigają jak jaskółki
Śmiercionośne pociski,
Stara Jerozolimo, w turbanach ognia, dymu
Od nalotów egipskich.

Niech handlarze narodów, sprawcy wojny i głodu,
Widzą — jak ludzie prości
Na śmierć walczą o życie, tam, gdzie żył nauczyciel
Ziemskiej sprawiedliwości.

Ażeby się sprawdziło, co kiedyś się przyśniło
Księgom judzkich pasterzy,
Aby świata mocarze pokazali swe twarze
W błyskach bomb i moździerzy.

Aby wyszła z nich zdrada, od galopu krwi blada,
Która przed słońcem wyda
Jak urąga przemocy byle kamień z tej procy,
Co nie drgnęła w ręku Dawida.

By to, co tu się stało, wzięło i dla was ciało
W kraju gwoździ i drewna,
Jeruzalem zburzona, przez wieki doświadczona
I dlatego nam krewna.

ODWIEDZINY U POETY

Osiwiały przedwcześnie,
Warzący w alembikach trucizny zeszłego wieku,
Anachroniczny
Jak portret starego mistrza wśród jarmarcznych płócien,
Mógłby być żywym obrazem mojego kraju,
Gdzie w progu stoi powstanie, gdzie dymy z kominów
Przypominają o piecach, w których się topił tłuszcz ludzki,
Gdzie męczeństwo weszło w nałóg jak w dom, gdzie święta są wszystkie żałobne.

Urodzony nieco później, miałby twarz otwartą jak Whitman.
W starości brodę siwą, ufne oczy, śpiewałby jak dawni bardowie
Radość narodzin, rozkosz istnienia, ciszę dobrej śmierci,
Źdźbła trawy wybuchające wiosną, słodycz bibliotek i praw demokracji,
Kłus dzikich zwierząt po stepie, gdzie zioła i kwiaty nie znają nazw łacińskich,
Porty, do których spokojnie wpływają statki, krok marynarzy,
Kobiety z bańkami mleka śpieszące do miasta, świetlice,
Gdzie robotnicza młodzież uczy się czytać poetów,
Gdzie traktorzyści siadając ciężko na ławach
Chcą słuchać muzyki niezbyt wprawdzie poważnej, ale też nie lekkiej.

Lecz jego zdań, tych nawet, w których drży prawdziwe wzruszenie,
Nie powtórzą chłopcy ani dziewczęta przyszłości.
Z innych pić będą źródeł nachylając się ku nim niezdarnie,
Nie dotkną młodymi ustami jego wierszy, które nie chciały umrzeć,
Zupełnie jak ludzie, co się tak garną do życia,
Że nawet umarli zostają tu długo po śmierci,
Wyrastając powoli z osłon ziemskich ku zgrozie żyjących,
Utkanych z drgającej materii, której prawem jest ciągła przemiana.

Jeżeli nawet piękno jest umowne i starzeje się tak jak człowiek,
Jeżeli blask, który niegdyś nieciły słowa, zastyga
W martwe światło księżyca, jeśli uczucia
Przechodzą w styl... biada... Lecz ty wstrząsająca
Prawdo nie możesz umrzeć.

AIMÉ CESAIRE

Przełożyła Irena Małuszyńska

Sprawa ludów kolorowych *)

PONIEWAŻ wypada zakończyć te obrady, a moi koledzy mnie powierzyli zadanie wyciągnięcia wniosków praktycznych z Kongresu, przeto pragnąłbym zwrócić uwagę zebranych na samą tylko redakcję następującego ustępu odezwy programowej Komitetu Organizacyjnego:

„Czy prawdziwa wolność, zagrożona możliwością nowej wojny, nie powinna być udziałem najszerszych warstw społecznych i czy w tym pojęciu nie zawiera się również poszanowanie swobodnego rozwoju kultur narodowych i godności człowieka bez względu na pochodzenie i rasę?"

Ludzie XIX wieku wierzyli w swym naiwnym optymizmie, że ta właśnie prawdziwa wolność została przez wszystkie narody całkowicie lub prawie całkowicie osiągnięta.

Jeden z nich, francuski socjolog Gabriel Tarde, nie wahał się orzec:

„Piękną i godną podziwu postępowością, która za mało jest podkreślana, która jednakże towarzyszy wszelkiej cywilizacji opartej na prawie, jest ciągłe rozszerzanie się stosunków prawnych. Ograniczone początkowo do wąskiej i zamkniętej grupy krewnych, powiększającej się coraz bardziej przez adopcję, te stosunki rozciągnęły się następnie na szersze koło sąsiadów, później poprzez pojęcie ojczyzny, na miliony współziomków, następnie poprzez ideę wspólnoty religijnej na setki milionów cudzoziemców, wreszcie poprzez ideę humanitaryzmu, prawa międzynarodowego i prawa naturalnego — na wszystkich ludzi".

I autor wyjaśnia nam, że to stopniowe dopuszczanie coraz szerszych warstw ludzkości do tego co nazywa „wielkim kościołem prawa" jest dziś zakończone, chociaż stanowi bezpośredni lub pośredni wynik instynktu sympatii.

Wiele lat upłynęło od sformułowania tej teorii.

Żyjemy w XX wieku. Nie bardzo wierzymy w rolę instynktu sympatii jako motoru rozwoju historycznego i jako ostatecznego wyjaśnienia powstawania społeczeństw.

Nie wierzymy również aby upowszechnienie prawa, z takim entuzjazmem sławione przez liberalnych filozofów ubiegłego stulecia, było czymś innym, niż tylko pobożnym życzeniem, które bynajmniej nie zostało w historii urzeczywistnione.

Bo czyż w chwili obecnej nie ma na świecie milionów ludzi rzeczywiście pozostających poza nawiasem prawa, poza ustawodawstwem i poza wszelką wspólnotą-prawną? Czyż całe miliony ludzi nie żyją w upośledzeniu, całe miliony ludzi, których można masakrować, nie uchodząc bynajmniej za barbarzyńcę, których można w ogóle bezkarnie wyjąć spod prawa?

Na ludzi tych wolno skierować ogień armatni i karabiny maszynowe, a sądownictwo wszystkich narodów nawet się nie odezwie.

Chcę mówić o narodach kolonialnych.

W chwili, gdy wypowiadam te słowa, w tej samej chwili, w której my tutaj usiłujemy stworzyć podstawy pokoju, brytyjskie samoloty bombardują wioski malajskie, zabijając kobiety, dzieci i starców. Na Jawie i Sumatrze Holendrzy przystępują do szturmu na Republikę Indonezyjską. W Indochinach francuskie wojska atakują, zabijają, masakrują, a jednocześnie Madagaskar spływa niewinną krwią. Można więc wobec tego powiedzieć, że w chwili obecnej wojna nie jest czymś, czego należy uniknąć, wojna jest czymś, co już jest i czemu bezwzględnie i jak najszybciej trzeba położyć kres.



Aimé Cesaire w rozmowie z Jean Felix Tchicaya, delegatem Kongo

I tutaj nasuwa się pytanie: dlaczego ze wszystkich słów, jakie zawiera słownik ludzki, właśnie słowo „kolonialny" posiada nieszczęsny przywilej łączenia się najłatwiej ze słowem „wojna"?

Odpowiedź jest prosta: wojnę kolonialną dopuszcza się z większą niż wszystkie inne wojny łatwością, ją tylko można prowadzić nie nazywając rzeczy po imieniu. A jeśli nie trzeba jej nawet nazwać wojną, to znaczy, że ci, przeciwko którym jest skierowana, są całkowicie wyrzuceni poza nawias sprawiedliwości i prawa międzynarodowego.

Bo jedną ze zbrodni cywilizacji zwanej zachodnią, jedną z jej najhaniebniejszych plam, jest uszczuplenie — i to właśnie w okresie, kiedy tak gorąco powoływała się na jego wszechstronność — uszczuplenie, powtarzam mocy prawa, zredukowanie go na miarę swych potrzeb, przystosowanie go do poziomu swych interesów.

Dziwny jest ten postęp ku złu.

W XVI wieku jakiś Montaigne wierzy w równość wszystkich ludzi, głośno obwieszczając swój szacunek dla tych, których nazywano „dzikimi".

W wieku XVIII tacy myśliciele, jak Montesquieu, Voltaire i Diderot, demaskują wstrętne machinacje ludzi, którzy spotwarzają murzynów, aby móc ich bezkarnie wyzyskiwać.

Jednakże w niespełna 50 lat później burżuazja, która już przestała być wtedy klasą zdobywczą i przyjęła postawę li tylko defensywną, zmieniła zdanie: stała się wyznawczynią rasizmu.

Spójrzmy na jedną z najohydniejszych stronic drugiego tomu „Wieczorów Petersburskich" Józefa de Maistre'a. To, co tam znajdujemy, zasługuje na powtórzenie, bo daje skrótowy obraz postawy filozoficznej milionów ludzi białych, Amerykanów i Anglosasów, wobec milionów ludzi, których jedyną zbrodnią jest to, że nie są biali.

„Zupełną słuszność mieli Europejczycy w swym pierwszym okresie kolonizacyjnym — pisze Józef de Maistre — że nie chcieli uznać za równych sobie tych wszystkich podbitych ludzi, którzy zamieszkują Nowy Świat. Patrząc przez chwilę bodaj na słowo „dziki" trudno byłoby nie przeczytać „przeklęty", nie tylko w odniesieniu do jego duszy, ale nawet do cielesnego wyglądu. Jakaś straszliwa i karząca dłoń zawisająca nad tymi ludami przeznaczonymi na ofiarę (to znaczy — przeklętymi) zatarła w nich znamienne cechy naszej wielkości".

Ale — zapytacie mnie — co to wszystko ma wspólnego z wojną czy pokojem? Zrozumiecie to na przykładzie innego pisarza francuskiego: Ernesta Renana.

„W jakiej mierze wojna jest dozwolona?" — zapytuje ten prekursor naszych humanistów zachodnich.

A oto odpowiedź Renana: „Wśród ras równych sobie (czyt. Europejczyków) wojna jest wstrętna, wojna zasługuje na potępienie.

Ale wojna rasy o wyższej cywilizacji (czyt. europejskiej) z rasą mniej cywilizowaną (czyt. egzotyczną) jest dozwolona".

Dokładnie to samo rozróżnienie znajdujemy w innej książce Renana napisanej zaraz po wojnie 1867 roku, a noszącej tytuł: „Reforma umysłowa i moralna".

„O ile podboje wśród ras równych sobie zasługują na potępienie, pisze Renan, o tyle podboje mające na celu uszlachetnienie przez rasy wyższe ras niższych i zwyrodniałych należą **do opatrznościowego porządku rzeczy w ludzkości.**

„Tu regere imperio populos, Romane, memento" — oto nasze hasło.

Awanturnicy, którzy zakłócają spokój społeczeństw europejskich, obchodzą swego rodzaju **ver sacrum.** Każde z plemion, jak Frankowie, Longobardowie czy Normandowie odnajdą się tu w swej roli. Natura stworzyła rasę robotników: jest nią rasa chińska. Rasę robotników rolnych stanowią Murzyni. Rasą panów i wojowników jest rasa europejska. Każdy powinien czynić to, do czego został stworzony, a wtedy wszystko będzie dobrze".

Tych kilka przytoczonych przeze mnie cytat wskazuje dostatecznie, że, Hitler i hitleryzm nie są, jak to usiłowano nam wmówić, **wyjątkami i potworami** t. zw. zachodniej cywilizacji, przykrymi odstępcami, ale że przeciwnie, Hitler jest w pewnym sensie ukształtowany przez logikę tej cywilizacji i że w konsekwencji nie będziemy uleczeni z hitleryzmu dopóty, dopóki świat nie będzie uwolniony od tych, którzy tworzą hitleryzm. Mówię o tym społeczeństwie kapitalistycznym, które zdaje sobie sprawę, że aby otrzymać od historii prolongatę swego istnienia, musi wygrywać wszystko, co ludzi rozdziela, a więc grać na możliwie jak najszerszej klawiaturze przesądów, obojętne przy tym, czy to będą przesądy narodowościowe, społeczne czy rasowe.

Czyż samo istnienie Rosji Sowieckiej, gdzie niezliczone miliony ludzi należących do najróżnorodniejszych ras i kultur żyją obok siebie w zgodzie i pracują w spokoju, nie jest dowodem, że może być przeciwnie?

Jeżeli więc my, intelektualiści, chcemy naprawdę walczyć o pokój, walczyć przeciwko wojnie, musimy ze wszystkich sił walczyć przeciwko hierarchizowaniu ludzkości na rasy szlachetne i rasy pariasów.

Oczekujemy od was, intelektualiści Europy, abyście sami to poznali i przekonali o tym waszych rodaków, że jedna jest tylko sprawa ludzka, że sprawa wolności nie da się zróżniczkować i że za każdym razem, gdy pada Vietnamczyk, za każdym razem, gdy cierpi tortury mieszkaniec Madagaskaru, za każdym razem, gdy znieważa się Żyda, za każdym razem, gdy linczuje się Murzyna, ginie jakaś cząstka cywilizacji powszechnej, a zniewaga wyciska swe piętno na policzku ludzkości.

Chcecie pokonać wojnę?

Zabijcie to wszystko, co rozdziela ludzi, a przede wszystkim obudźcie w ludziach niesprawiedliwych ludzkie sumienie, poruszcie je, każcie mu przemawiać przeciwko uciskowi i przeciwko niewolnictwu, albo też niech unika samo siebie.

Kiedy Amerykanie puścili poprzez Stany Zjednoczone pociąg, zwany „Pociągiem Wolności" mający wszystkim unaocznić demokratyczne tendencje Ameryki, jeden spośród nas, czarny poeta Laughton Hughes, napisał poemat tak właśnie zatytułowany „Pociąg Wolności".

Chciałbym tedy zakończyć kilkoma wierszami, wyjętymi z tego poematu, ponieważ wyrażają one to wszystko, czego oczekują od was tysiące uciemiężonych ludzi — czarnych i żółtych:

„Przeczytałem właśnie w gazetach o pociągu Wolności.
Usłyszałem właśnie przez radio o pociągu Wolności.
Boże! Jakże oczekiwałem na ten pociąg Wolności!
Kiedy moja babka z Atlanta, która ma 83 lata i jest czarna,
uda się razem z innymi żeby zbaczyć tę Wolność,
znajdzie się jakiś biały i zaryczy: „Precz!"
Murzyni nie mają nic do roboty na drodze do Wolności!
Ach! Ja kupię bilet na ten pociąg Wolności
i będę krzyczał na całe gardło: „Gwiżdż, do Wolności!
Oto pociąg Wolności.
Wsiadajcie do pociągu Wolności!"

Aimé Cesaire

*) Przemówienie wygłoszone na Światowym Kongresie Intelektualistów we Wrocławiu przez delegata Martyniki.

IWAN WINOGRADOW

Formalizm w oswietleniu poetyki marksistowskiej *)

FORMALIZM także przejął niektóre elementy poetyki Potebni i „historycznej poetyki" Wesełowskiego. Występuje to jasno w pierwszej książce Szkłowskiego „Odrodzenie słowa" (Woskresienie słowa" 1914). Możemy w niej napotkać wzmianki o wewnętrznej formie słowa i o skamieniałości epitetu, a tezy formalizmu o ewolucji literatury wiążą się również najściślej z poetyką Wesełowskiego.

Ale już proste zestawienie formalizmu z tymi poprzedzającymi go i wpływającymi nań teoriami wykazuje, że w formaliźmie wyraźnie przejawia się upadek, degradacja sztuki mieszczańskiej. O formaliźmie w różnych dziedzinach teorii i praktyki sztuki pisano nie mało, a wiele ważniejszych, związanych z tym problemów — o jego społecznym charakterze, o związku z formalizmem zachodnio - europejskim, o filozoficznych podstawach, o wyjściowych założeniach i ich rozwoju — zostało zasadniczo wyjaśnionych. Nie znaczy to jednak, by zrobiono wszystko. Konieczne jest dalsze i głębsze opracowanie i wymienionych zagadnień i tych dotychczas jeszcze nie poruszanych np. o związku z symbolizmem i akmeizmem, o specjalnych kategoriach poetyki formalizmu itd.

Formalizm jest wytworem imperialistycznego stadium rozwoju kapitalizmu. Jest on najjaskrawszym wyrazem rozkładu mieszczańskiej sztuki i mieszczańskiej teorii sztuki. Osiągają w nim szczyt swego rozwoju te tendencje, które stanowiły właściwość ideologii mieszczańskiej także we wcześniejszych etapach rozwoju — t. zn. — idealistyczny subiektywizm, profesjonalizacja, tworząca z artystów kastę, a ze sztuki eksperyment zamknięty w kręgu zawodowców, pogoń za „nowością" doznań. Formalizm jest tylko częścią szerokiego strumienia degradacji ideologii mieszczańskiej, która wyraża się i w praktyce i w teorii sztuki, gdyż wiąże się z upadkiem filozofii mieszczańskiej.

Formalizm oznaczał nie tylko upadek człowieka w społeczeństwie mieszczańskim, lecz miał przy całej swej pozornej „bezstronności" aktywny cel polityczny — cel walki z proletariackim światopoglądem i proletariacką sztuką.

Należy przypomnieć sobie sławne „Hamburskie porachunki" (Gamburgskij Sczet") Wiktora Szkłowskiego, w których Chlebnikow jet championem, a Gorkij „nie w formie" aby przekonać się o tym z całą pewnością.

Już mówiło się o tym, że formalizm rosyjski w porównaniu z zachodnio - europejskimi formalistycznymi teoriami znajduje niezwykle ostry i dobitny wyraz — jest doprowadzony aż do ostatecznych konsekwencji. Sądzimy, że wynikło to stąd, że właśnie proletariat Rosji carskiej stał się awangardą światowego proletariatu, że właśnie w carskiej Rosji nastąpiła pierwsza rewolucja proletariatu. W Rosji klasowe przeciwieństwa były specjalnie ostre i dlatego rosyjski formalizm, częściowo importowany z zagranicy (zwłaszcza jeśli chodzi o podstawy filozoficzne) odznaczał się specjalną ostrością i bojowością. W Rosji specjalnie silne były tradycje „społecznej" literatury, tradycje publicystycznego, utylitarnego stosunku do sztuki. Początkowo symbolizm, a potem formalizm tworzyły się i wzrastały w zaciętej walce z tymi tradycjami.

Cechą formalizmu zachodnio - europejskiego były bardzo silne akcenty nacjonalistyczne, które potem rozwinęły się w faszyźmie. Jeśli np. zajrzeć do pracy Wöllflina „Podstawowe pojęcia historii sztuki", to można dostrzec, że Wöllflin wyróżniając różne rodzaje sztuki wedle czysto formalnych właściwości, nie wyrzeka się „wyjaśniania" i szuka kryteriów w „duchu narodowym". Nacjonalistyczne tendencje pojawiały się i we wczesnym rosyjskim futuryźmie, lecz nie doszły do takiego rozwoju jak na zachodzie. W futuryźmie rosyjskim przejawiały się tendencje demokratyczne. Jeśli zaś chodzi o formalizm w dziedzinie teorii literatury, to jego rozwój w warunkach dyktatury proletariatu miał specyficzny charakter, różny od rozwoju odpowiadających mu teorii w państwach zachodnio - burżuazyjnych.

W swym stosunku do filozofii, formalizm opiera się na teorii o charakterze subiektywno - idealistycznym. Nie jest to jednak jawny, subiektywny idealizm, lecz idealizm mający ambicję „wzniesienia się" ponad przeciwieństwo materii i poznania. (Jak np. machizm, empiriokrytycyzm). Jest to subiektywny idealizm, który stara się ustalić „ponad subiektywne" istnienie elementów świata doświadczalnego, (które jednak w rzeczywistości są rozumiane jako elementy świadomości). Stąd rodzi się nierozwiązalna wewnętrzna sprzeczność — dążenie do „obiektywizmu" i równocześnie w istocie rozpętany subiektywizm w rozumieniu tego obiektywnego. Formaliści odżegnywali się od jakichkolwiek pokrewieństw filozoficznych, brawurowali swoją niezależnością od wszelkich założeń filozoficznych. Lecz nauka jest systemem pojęć, a w każdym systemie pojęć istnieje i przejawia się jakaś metodologiczna, filozoficzna podstawa.

Wskazana przez nas charakterystyczna wewnętrzna sprzeczność „nowego" subiektywnego idealizmu występuje wyraźnie przede wszystkim w teorii formalizmu. Formalizm dąży do „obiektywizmu", dąży do rozpatrywania dzieła literackiego jako przedmiotu, jako obiektywnie danego systemu chwytów, lecz nie staje mu sił, aby uniknąć najskrajniejszego psychologizmu.

Cały proces rozwoju literackiego jest wyjaśniany „automatyzacją" chwytu — tzn. przyczynami z zakresu subiektywno - psychologicznego. Ale nie dosyć tego. Sam chwyt okazuje się tylko subiektywno - psychologicznym doznaniem czytelnika. Każdy chwyt istnieje przez to, że jest doznawany. Jeśli tak jest, to rodzi się stąd istotny wniosek, że specyficzność sztuki określa się nie przez jej obiektywne właściwości, tylko przez charakter podejścia, doznania czytelnika. Formaliści sami dochodzą do tego wniosku. „To co dzisiaj jest faktem literackim, jutro staje się zwykłym faktem istnienia, znika z literatury... Płynne okazują się tu nie tylko granice literatury, jej „peryferie", jej nadgraniczne dziedziny — nie — sprawa dotyczy samego „cen-

*) Rozdział III cz. VI z książki „Woprosy marksistkoj poetiki" Iwana Winogradowa, Leningrad, 1936. („Zagadnienia poetyki marksistowskiej").

trum" — pisze J. Tynjanow w rozprawie „Fakt literacki"[1]). I w drugiej rozprawie: „Literackość faktu zależy od zakwalifikowania jego jakości (tj. od jego związku z literackim lub poza literackim szeregiem), innymi słowami — od jego funkcji. To co w jednej epoce jest faktem literackim, w innej będzie ogólno językowym zjawiskiem życia i naodwrót".[2]).

Już to samo wystarczyłoby, aby z pełną odpowiedzialnością mówić o filozoficznych podstawach formalizmu.

Lecz wskażemy na jeszcze jedną charakterystyczną cechę. Dążenie do zniesienia przeciwieństwa „materii" i „poznania" wyrażało się też w usunięciu zagadnienia przyczynowości. Wszystko było sprowadzone do „szeregów" zjawisk, dzięki czemu jakoby przezwyciężało się „przepaść" pomiędzy poznaniem i materią i tym samym zatracało się pojęcie związków przyczynowych. Na ich miejsce wysuwały się pojęcia „koordynacji", „współzależności" itp.

Formaliści odżegnywujący się od filozofii — jak widać — doszli do tej najbardziej wyrafinowanej teorii, dalekiej od naiwno - realistycznego pojmowania świata. „Literatura, podobnie jak każdy dowolny specyficzny szereg zjawisk, — pisze Ejchenbaum — nie wynika z faktów innych szeregów i dlatego nie może być do nich sprowadzona. Stosunki między faktami szeregu literackiego i faktami leżącymi poza nim — nie mogą być stosunkami prostej przyczynowości, lecz tylko odpowiedniości, wzajemnego oddziaływania, zależności lub uwarunkowania"[3]).

Nie jest już tak ważne z jaką mianowicie „szkołą" subiektywnego idealizmu związany jest formalizm. Najprawdopodobniej, nasycił się całym tym filozoficznym „zapachem", który przesączał się i przez czasopisma i przez wykłady uniwersyteckie i przez bezpośrednie obcowanie i w którym pomieszały się strzępki różnych modnych systemów.

W formaliźmie można znaleźć echa nie tylko tej lub innej subiektywno idealistycznej szkoły (na przykład machizmu), lecz i modnego wówczas bergsonizmu — który wiąże się z teorią „automatyzacji", z charakterystyką „praktycznego" doznania w odróżnieniu od doznania artystycznego.

W dziedzinie ściśle literackiej bezpośrednimi poprzednikami formalistów byli symboliści. Podstawy „analizy formalnej", która osiągnęła potem w formaliźmie taki rozwój, były stworzone w pracach Balmonta, Brjusowa, Wiaczesława Iwanowa i zwłaszcza Andrzeja Białego. Konkretne zestawienia wykazałyby jak dalece grunt był tu przygotowany. Dotyczy to nie tylko prac o eufonii i rytmie. Tak naprzykład rozprawa B. Eichenbauma „Jak jest zbudowane opowiadanie „Szynel" Gogola", bezpośrednio wiąże się z pracami Rozanowa i Brjusowa o Gogolu. Rozwijając myśl wysuniętą jeszcze przez Apollona Grigoriewa, Rozanow, a potem Brjusow poddali w wątpliwość realizm Gogola, rozpatrując całą jego twórczość jako fantastyczną zabawę, jako groteskę. Pozostawało tylko odjąć tu filozoficzną i psychologiczną motywację, aby w rezultacie pozostała ta „językowa groteska", o której mówi Ejchenbaum.

Podobnie postępowano z pracami symbolistów o eufonii, rytmie i o wierszu. Z magii symbolizmu zostawała tylko doznawalna forma.

Gdyby chcieć określić zasadniczy rdzeń całej teorii formalizmu — to będzie nim „doznawalna konstrukcja", „doznawalna forma". Doznanie tej formy jest celem samym dla siebie i posiada charakter zabawy. „Typową cechą doznania artystycznego jest materialna bezinteresowność"[4]) — pisze Szkłowskij! O tym samym mówi B. Ejchenbaum w rozprawie „Problemy stylistyki kina". „Sztuka żyje tym, co jest poza nurtem życia i nie posiada użyteczności". I dalej o podstawie sztuki — „Zasada ta, w swej istocie ma charakter zabawy i nie wiąże się z jednoznacznie wyrażonym „znaczeniem", jest wcielona w te „pozarozumowe", „posiadające własny cel" tendencje, które przebijają przez każdą sztukę i stanowią jej organiczny zaczyn"[5]).

„Doznawalna forma", „doznawalna konstrukcja", „słowny szereg z nastawieniem na wyraz" — w takich formułach określa się zwykle tę zabawową istotę literatury.

Lecz jak można osiągnąć tę „doznawalność" i jakim zmianom ona podlega?. Tu występuje na scenę prawo „automatyzacji formy" i prawo wyjścia z tej automatyzacji przez „uniezwyklenie", „utrudnioną formę", „schodkową konstrukcję" itd. itd.

W „Teorii prozy" W. Szkłowski szczegółowo pisze o „automatyzacji". „Gdy zaczniemy rozpatrywać ogólne prawa doznawania, to przekonamy się, że działania stając się przyzwyczajeniami automatyzują się. W ten sposób wszystkie nasze przyzwyczajenia usuwają się w sferę nieświadomego automatyzmu; jeśli ktoś przypomni sobie doznanie jakie przeżył, trzymając poraz pierwszy pióro w ręku, lub mówiąc poraz pierwszy obcym językiem i zestawi to doznanie z tym, jakiego doświadcza czyniąc to poraz dziesięciotysięczny — ten zgodzi się z nami. Pod wpływem takiego doznania rzecz usycha — najpierw jako doznanie, a potem to odbija się i na sile jej oddziaływania W ten sposób życie przepada, zamieniając się w nicość. Automatyzacja pochłania rzeczy, ubrania, meble, żonę i strach przed wojną. I właśnie w tym celu, aby odzyskać doznawanie życia, odczuć rzeczy, aby uczynić kamień kamiennym, istnieje to, co nazywa się sztuką. Celem sztuki jest stworzyć doznanie życia jako widzenia, a nie jako „odpoznawania", chwytem sztuki staje się chwyt „uniezwyklenia" rzeczy i chwyt „utrudnionej formy", zwiększający trudność i długość doznania, ponieważ proces doznania w sztuce jest celem samym w sobie i winien być przedłużony"[6]). Stąd rodzą się określenia Szkłowskiego — „Taniec jest poruszaniem się dla doznawania rozkoszy ruchu" itp.

W rzeczywistości formaliści podkładają pod „doznanie rzeczy", „doznanie samej formy artystycznej" i w ten sposób cel, który stawia sztuce Szkłowskij zostaje jeszcze bardziej zwężony. Ale przypatrzmy się bliżej temu twierdzeniu formalizmu. Pozornie wygląda ono przekonywująco i jakgdyby znajduje potwierdzenie w faktach. Analiza taka ma dla nas tym większe znaczenie, że coś analogicznego znajdowaliśmy w teorii Worońskiego i w teorii „bezpośrednich wrażeń" J. Libiedzińskiego. Specjalnie ważne wydają się te myśli dla zagadnienia artyzmu. Czyż naprawdę nie jest zadaniem artysty „pokazać" rzeczy i człowieka, pozwolić „doznać" je, przezwyciężyć filisterski i konwencjonalny stosunek do przedmiotu? I czyż właśnie formaliści nie wskazują sposobów i chwytów takiego „ożywienia" przedstawianej rzeczywistości? Może chociaż w tym wąskim zakresie uczuciowym mają rację? Wszystko to jest tylko pozorem prawdy. Z pewnością możemy mówić o jednostronności, o „ubóstwie" zwykłego doznawania rzeczy. Lecz przezwyciężeniem tego wąskiego, ograniczonego doznawania będzie każde teoretyczne i artystyczne głębsze i szersze poznanie. Dalej przy rozpatrywaniu zagadnienia artyzmu zobaczymy, że dla stworzenia „żywego" obrazu zupełnie nie wystarcza „nowość", a potrzebne jest rzetelne odtworzenie praw uczuciowo - doznawalnego wyglądu przedmiotu. Zupełnie tak samo możemy mówić o wiadomym ubóstwie, o nieprzystosowalności starych form — i w tym zakresie języka — do rozwijającego się poznawania świata. Dla wyrażenia nowej treści, stare formy okazują się niedogodne, nowe formy są pożądane, lecz wszystko to jest bardzo dalekie od „automatyzacji" i od „utrudnionej formy".

Cała poetyka formalizmu charakteryzuje się tym, że wszystkie jej kategorie jak gdyby wypływają na powierzchnię dzieła literackiego, tracąc swą poznawczą treść i wszystkie są rozpatrywane pod kątem widzenia „nowości" „utrudnienia", „wyprowadzenia z automatyzacji".

Kierunek ten rozpoczynał teoretyczne opracowanie dzieła literackiego od języka — jeszcze w „Odrodzeniu słowa" Szkłowskiego. W nauce o języku poetyckim i praktycznym, o nagromadzeniu jednakowych samogłosek płynnych w języku poetyckim, o dźwiękowych powtórzeniach, o „narracji wypowiadawczej" (rozprawa B. Ejchenbauma) — w języku wysuwało się na pierwszy plan jego zewnętrzną dźwiękową stronę, kreślono sposoby uświadomienia „doznawalności" języka artystycznego. Nauka o języku dalszy swój rozwój osiągnęła w pracach Tynjanowa, gdzie chodziło już przede wszystkim o rozróżnianie odcieni semantycznych.

Takiemu opracowaniu była poddana i obrazowa zawartość języka artystycznego. Zacznijmy od kategorii tematu. B. Tomaszewski tak ją określa w „Teorii literatury". — „Temat jest jednością znaczeń poszczególnych elementów dzieła"[7]). Określenie to jest wyraźnie „immanentne" i nic nie mówi o tej rzeczywistości, która jest odtworzona w dziele. Weźmy teraz taką kategorię jak „bohater" dzieła. Dla formalistów „bohater", „charakter" też nie jest niczym więcej, jak tylko elementem formalnej konstrukcji. „Bohatera konstruuje się z tworzywa, zestawia się zeń podobnie jak bibliotekę z książek"[8]) — oznajmia Szkłowskij. Jest to mechaniczne pojmowanie bohatera. Lecz oto pojmowanie „dynamiczne", które tym niemniej jest formalistyczne. „Statyczna jedność bohatera (jak w ogóle każda statyczna jedność w dziele sztuki) jest nadzwyczaj chwiejna — zależy całkowicie od zasady konstrukcji"[9]). I tutaj nie ma ani słowa o odtworzeniu rzeczywistości, bohater jest pojmowany jedynie jako wiążący element konstrukcji — wszystko jedno statyczny czy dynamiczny.

Kategoria tematu i kategoria bohatera w poetyce formalizmu zajmuje w ogóle miejsce podrzędne i łatwo zrozumieć z jakich przyczyn, jesteśmy tu najbliżej związków i zjawisk obiektywnej rzeczywistości odtworzonych w literaturze, a czysto „konstruktywne" rozumienie jest tu najmniej uzasadnione[10]).

Formalizm nie zastygał w bezruchu — lecz przeżył wiadomą ewolucję. Najważniejszym z późniejszych etapów w jego rozwoju były prace J. Tynjanowa i jego „szkoły". Niektórzy uważali „szkołę" tynianowską w formalizmie niemal za przezwyciężenie formalizmu, gdyż posługiwała się wprawdzie idealistyczną, ale jakąś „dialektyką", dlatego należy jej się specjalna wzmianka. Tynjanow rzeczywiście wniósł coś nowego do formalizmu, lecz to nie naruszało podstawowych zasad formalizmu, a nawet było ich rozwinięciem. Ta nowość da się sprowadzić do tego, że Tynjanow zamiast statycznego pojmowania artystycznej konstrukcji (jako sumy chwytów) jak u Szkłowskiego i innych — wysunął jej dynamiczne rozumienie. „Doznanie" artystycznej konstrukcji było rozumiane jako jakiś proces dynamiczny. Tynjanow naturalnie nie przezwyciężył formalizmu, ani jego subiektywno-psychologicznych założeń, ukrytych za pozornym obiektywizmem, a przeciwnie pogłębił te założenia. Dzieło artystyczne i cały proces literacki już zupełnie jawnie zostały przez Tynjanowa sprowadzone do dynamiki doznania. W książce „Problemy języka poetyckiego" teoria ta została zastosowana do wiersza. „Jedność dzieła nie jest zamkniętą symetryczną całością — pisał w tej książce Tynjanow — a rozwijającą się dynamiczną jednością"; między jej elementami nie ma statycznego znaku równości i dodawania, lecz dynamiczny znak wzajemnego oddziaływania i integracji. Forma dzieła literackiego winna być uznana za dynamiczną"[11]). Według Tynjanowa jeden z przejawów dynamizmu zawiera się w pojęciu „zasady konstruktywnej". „Elementy słowne nie są równoważne, dynamika formy nie powstaje jako wynik ujednolicenia i zlania się poszczególnych czynników, lecz wynika z ich wzajemnego oddziaływania i wysuwania się na plan pierwszy jednej grupy czynników kosztem innych. Przytem czynnik górujący urabia czynniki jemu podporządkowane"[12]). W wierszu takim czynnikiem jest rytm.

Jednym z wyraźnych wskaźników sprowadzania całej formy artystycznej do zakresu doznań subiektywno-psychologicznych jest wysuwane przez Tynjanowa pojęcie „ekwiwalentu" (na przykład szereg kropek zamiast całej strofy), którym zastępuje się jakiś człon konstrukcji. Dynamika doznania „zapełnia" puste miejsce.

Tę samą teorię zastosował Tynjanow w celu wyjaśnienia rozwoju „szeregu literackiego". (Częściowo w książce „Zagadnienie języka poetyckiego", potem w rozprawach „Fakt literacki" i „O ewolucji literackiej"). Tynjanow przyjął również teorię „młodszej linii", która zajmuje miejsce „starszej" skoro ta ostatnia zostaje „zautomatyzowana" i „zużyta". Teorię tę autor rozwinął i „zdynamizował" wykazując względność „faktu literackiego", współzależność różnych zjawisk literackich, zwracając uwagę na zmianę stosunków pomiędzy różnymi czynnikami dzieła literackiego itp. „Immanentność" rozwoju literackiego pozostała, a jeszcze silniej wystąpiła subiektywno-psychologiczna podstawa tegoż rozwoju.

Niczego zasadniczo nowego do rozumienia literatury nie wniosła i teoria „samoistnego bytu literackiego" wysunięta przez formalistów. Odegrała tylko pewną „obronną" rolę — nic więcej.

Od formalizmu można tylko i to całkowicie odejść, nie wolno „reformować" go i „przystosowywać" do naszej rzeczywistości.

Tłum. Ewa Korzeniewska

---

[1]) J. Tynjanow. „Archaisty i nowatory" 1929 — str. 9.

[2]) J. Tynjanow. „Archaisty i nowatory" str. 35.

[3]) B. Ejchenbaum. „Moj wremiennik" 1929 — str. 55.

[4]) W. Szkłowskij. „Woskresienie słowa" 1914 — str. 9.

[5]) — „ — „Poetika kino" — str. 16.

[6]) W. Szkłowskij „O teorii prozy" 1929 — str. 12—13.

[7]) B. Tomaszewskij. „Teoria literatury" 1927 — str. 131.

[8]) W. Szkłowskij. „Gamburgskij Szczet" 1928 — str. 104.

[9]) J. Tynjanow. „Problema stichotwornogo jazyka" 1924 — str. 9.

[10]) Opuszczono fragment, który nie wnosi niczego nowego.

[11]) J. Tynjanow. „Problema stichotwornogo jazyka". 1924 — str. 10.

[12]) J. Tynjanow. „Problema stichotwornogo jazyka". 1924 — str. 10.

ADOLF SOWIŃSKI

BALLADA O JEZIORZE

Prof. Tadeuszowi Kotarbińskiemu

Dzwonów tutaj nie słychać, dzwony są za górami,
dzwony z kopuł pod śniedzią w świetle kwitnących stron,
lecz gdy poruszyć jezioro brzmią kołysząc się na nim
fale jak dzwonów kadłuby, fale ciężkie jak dzwon.

Lasy i skały na górach, lasy i skały w jeziorze,
woda jest głębsza od gór, które odbiły się w niej,
bo na środku jeziora pod górami są zorze,
dzwonów kadłuby wśród fal toną i łodzi jest lżej.

Cienie rosły od brzegów. Cienie kamieniste
szerzyły ciszę pustą jak skwar na polanie,
cienie drzew były w prądach zorzy porywiste
jak ogień własnym cieniem skaczący po ścianie
w ciemnym i cichym domu. Wielkie minerały,
każdy z wierzchu czerwony, a w pęknięciu biały,
graniczyły z chmurami nad najwyższą jodłą.
Było cicho gdy w górach zaskrzypiało siodło
bez tętentu pod jeźdźcem i o kraju olch
zaśpiewał latający bez tętentu Kolch.

„Kolchis ciemna od jezior, chaty na palach, a góry
leżą odbite u wejść jak niedźwiedzice i psy,
prąd nakłania ich łapy ku zasłonom ze skóry,
płomień spada spod zasłon, a z łap woda i mgły.

Olchy kreślą granicę dla gór na niebie i w toni,
nie ma brzegu bez olch, nieba i zatok bez gór,
łuk na ptaki poluje, luna ptaków nie broni,
świecąc w oczy pod liść, świecąc liśćmi wśród piór.

Olchy świecą, bo każdy ich liść jest jak owoc lub dłoń
w prześwietleniu różowa, a wilgoć wieje i błyska,
ku niej ptaki z olch płoszy niepochybna broń,
w toni wielka jest przepaść, w górach przepaść jest niska.

Popłyń skrajem przepaści, lecz nie trąć burtą opoki,
popłyń ponad przepaścią kamienną choć nierzeczywistą,
lecz nie wzbudzaj ni szmeru, byś dosłyszał me kroki,
kiedy schodzę z olchami w przepaść nierzeczywistą.

Schodzę, konia prowadzę za nozdrza, olchy spod luny
posuwają się za mną, a z każdym ich ruchem w głębinę
liść po liściu zagasa, pierzchły ptaki i kuny,
tylko olchy są wierne, schodzą ze mną w głębinę.

I stąpają tam niby zakapturzone Hermesy,
niecąc cień, szerząc szum, chłonąc chłód,
zakrywają się nimi nierzeczywiste bezkresy,
bo bezkres można przejść w bród.

Jakbym konia wprowadził do nie tej w górach zagrody,
wracam, staję we wrotach, za mną zatarło się tło,
przemieniło się w płytę, w blok pochmurnej pogody,
w plan pionowy i płytki. Olch nie widać choć są
naokół planu, bloku i płyty,
gdzie zostaję jak rzeźba wypukły i odkryty
o pół kroku przed koniem,
którego w różnym żywiole
wiodę za nozdrza i chronię
przed spojrzeniem na gwiazdy,
przed gwiazdami w spojrzeniu,
nie przed gwiazdą na czole".

Jezioro było w cieniu, lecz połyskiwało
jak widok w mnóstwo studzien, gdzieś błysnęło skałą,
gdzieś gałązką lub kwiatem, a brzeg rozproszony
przyjmował w cień swój fale cieniste jak dzwony.
Żadna z olch nie świeciła, chyba że odbita
i poruszona wiosłem, rżenia i kopyta
nie dźwięczały na szlakach, które szumnie idą,
chyba że zapachniała świeżość gór Kolchidą,
a woda zaplątana w kamienne odrośle
zgrzytnęła ukazując płomyki na wiośle.

LEONARD SOBIERAJSKI

Od popularyzacji do produkcji naukowej

Dużo się pisało w prasie codziennej i społeczno - literackiej o tym, jak czołówki administracyjne i przemysłowe, posuwając się w 45 roku tuż za linią frontu, brały w posiadanie zdobyte ręką żołnierza tereny Ziem Odzyskanych. Mniej natomiast czytelnikowi jest wiadomo o roli, jaką odegrali prawie w tym samym czasie ludzie nauki. Ci również z punktu i prawie równocześnie stworzyli swoje czołówki naukowe, by równolegle i współharmonijnie z administracją i przemysłem zagospodarować obszary Ziem Odzyskanych myślą naukową. Nim przybrało to formę bardziej zorganizowaną, nim wcieliło się w postać instytucji o określonych celach i metodach — zaczęło się od roboty spontanicznej, wypływającej z entuzjazmu, i woli, i pasji ciekawości naukowej dla nowej ziemi. Naukowiec znalazł się już w pierwszych chwilach na terenach Górnego, Opolskiego i Dolnego Śląska. Pragnął on dać społeczeństwu polskiemu pierwszy obraz, pragnął słowem pisanym zbliżyć naród do posiadanej ziemi, dawał informacje, dawał pierwsze zbliżenie.

Pierwszy tej pasjonującej pracy oddał się Jan Dylik. Zważmy. Były to letnie miesiące roku 45. Ziemie Odzyskane przedstawiały wówczas wrzącą, nieuformowaną lawę ludzką. Przepływały przez nie masy, powracających z Zachodu, zaczynały się pierwsze zasiedlenia, miasta płonęły jeszcze zgliszczami, każdy kąt czyhał niebezpieczeństwem. Żadnej gwarancji spokojnej, naukowej pracy, prawie żadnej pomocy. W tej sytuacji Jan Dylik przemierza „rzemiennym dyszlem" wzdłuż i wszerz Górny i Dolny Śląsk, Ziemię Lubuską, Pomorze i Mazury. W 46 roku ukazuje się jego książka: „Geografia Ziem Odzyskanych"[1]). Daje ona pełną informację — pierwszy rzut historyczny o Ziemiach Odzyskanych, przedstawia ich położenie geograficzne, kreśli obraz zastanej struktury gospodarczej, mówi o możliwościach, wskazuje drogi racjonalnego zasiedlenia i wyzyskania tych Ziem, jest cenną pomocą dla naszych polityków gospodarczych, jest cenną pomocą i zachętą dla polskiego osadnictwa, jest wreszcie płomiennym manifestem, apelującym do twórców, artystów, literatów, by wzięli w swoje posiadanie te nowe tereny. Książka kończy się słowami: „Rozszerzenie kontaktu z morzem, nowe składniki rzeźby i w ogóle krajobrazu, zarówno w jego tle przyrodniczym, jak i w dziełach ludzkich, niosą wielkie wartości emocjonalne.

Powracające Ziemie, ich krajobraz, średniowieczne miasta, kościoły i zamki piastowskie przenika wątek tradycji. Wątek ten, niemal legendarnie stary i napół zapomniany, odnajduje się dzisiaj i odżywa na gruzach obalonych granic. Potężnieją w ten sposób elementy emocjonalne, które, obok zasadniczej, dostępnej dla zmysłów urody i odmienności krajobrazu, są wartościami, jakimi Ziemie Odzyskane darzą bezpośrednio całe społeczeństwo.

Szczególna rola przypada tym wartościom w polskiej twórczości artystycznej. Przed poetami, plastykami i muzykami staje nowy świat z całym bogactwem motywów zawartych w krajobrazie, w sztuce, w legendzie, w życiu".

Słowa te padły nie z ust literata, nie z ust artysty, wypowiedział je naukowiec — profesor Uniwersytetu Łódzkiego[2]).

* * *

Zaczynały powstawać instytucje naukowe: Instytut Zachodni, Instytut Śląski, Uniwersytet Wrocławski. Cała gromada naukowców o rozmaitych specjalnościach i zakresach podjęła metodyczną pracę opisu i przedstawienia w najrozmaitszych wymiarach i przecięciach — Ziem Odzyskanych. Naukowcy rozpoczęli planową robotę. Mieli oni zaspokoić dwie pilne potrzeby. Wiedzą swoją musieli służyć z jednej strony władzom administracyjnym, instytucjom przemysłowym, z drugiej strony badania ich miały na celu zadać kłam sfałszowanej nauce niemieckiej, zacierającej skrzętnie ślady polskości na Dolnym Śląsku czy Mazurach. W robotę wprzęgli się historycy, znawcy od zagadnień kultury wprzęgli się przyrodnicy, geografowie, geolodzy, archeolodzy, znawcy prawa i specjaliści od problemów demograficznych. Rozpoczęła się praca przemyślana, rozłożona na cały szereg rąk fachowych. Powstało mnóstwo dzieł o pierwszorzędnej wartości naukowej. Jest to niewątpliwie zasługą Instytutu Zachodniego. Praca szła tu na dwu jakby piętrach: czystej, odkrywczej nauki i popularyzowania osiągniętych wyników.

Pragnę pomówić o wydawnictwach drugiego typu. W roku 48 wyszły trzy cenne dzieła. Instytut Zachodni wydał: „Dolny Śląsk", Instytut Śląski — „Śląsk, Ziemia i Ludzie", wreszcie Książnica - Atlas: „Oblicze Ziem Odzyskanych, Dolny Śląsk". Są to wydawnictwa, stawiające sobie różne zadania. Występuje przy ich rozpatrywaniu wyraźny ciąg, odwrotny od normalnego porządku, można by go ująć w określenie: „Od popularyzacji do produkcji naukowej". Książka „Śląsk, Ziemia i ludzie" jest przekładem na język popularny, osiągniętych już wyników naukowych, jest dziełem dla określonego kręgu od-



Najstarszy widok Wrocławia zamieszczony w kronice Schedla z r. 1493

biorców, ludzi w pewnym stopniu zaawansowanych w problematyce historycznej, kulturalnej i gospodarczej, jest świetną książką dla nauczycieli szkół powszechnych i średnich, jest świetną książką dla bibliotek szkół średnich, dla TUR i TUL. Jest to praca zbiorowa, dokonali jej ludzie z dwóch środowisk naukowych — Katowic i Wrocławia. O pradziejach Śląska pisze archeolog Uniwersytetu Kazimierz Popiołek, o języku Stanisław Rospond, o piśmiennictwie — Zdzisław Hierowski, o sztuce — Tadeusz Dobrowolski, o ludzie, życiu gospodarczym, danych statystycznych, miastach i powiatach, turystyce i uzdrowiskach — Józef Ligęza, Antoni Wrzosek i Maria Suboczowa. Nad całym wydawnictwem czuwał i wstępem je opatrzył dyrektor Instytutu Śląskiego Roman Lutman.

Wydaje nam się, że książka dobrze spełnia swoje zadanie, dając pełną skalę zagadnień, w których wyczerpuje się problematyka Śląska.

* * *

Nieco inny ma charakter wydawnictwo Instytutu Zachodniego: „Dolny Śląsk". Mam przed sobą część drugą tego dzieła. Jest ono obliczone na jak najszerszy krąg odbiorców. Może pójść znakomicie w ręce uczniów szkoły powszechnej, powinno dotrzeć do samouków, trzeba aby się znalazło na półkach wszystkich w Polsce wypożyczalni książek. Jest to najbardziej urocza książka, jaką czytałem o Śląsku. Nazwiska autorów gwarantujące pełną wiedzę, a równocześnie tak pełne dobrej woli podania w sposób najbardziej przystępny, najbardziej barwny i plastyczny, zdobytych przez siebie wyników. Nie mogę się powstrzymać od określenia, że jest to książka gorąca, przesycona elementem uczuciowym, przesycona miłością do przedstawionego przedmiotu.

Jaką techniką pisarską uzyskują autorzy zamierzony — jak przypuszczamy — efekt. Można założyć, że celem ich było zbliżenie prostego, nieprzygotowanego czytelnika do przedmiotu. Wybieramy kilka próbek z książki, które zilustrują nam narzędzia, przy pomocy których pracowali tak naukowcy jak literaci dla osiągnięcia najbardziej przystępnej i interesującej formy wykładu. Podajemy fragment rozdziału pióra Ewy Maleczyńskiej, traktującego o historii Wrocławia. Posłuchajmy:

„I znów nadchodziły dla Wrocławia czasy nie tylko dobre, ale wręcz świetne. W XII w. miasto rozrasta się. Tętni życie na wyspie tumskiej, gdzie przy katedrze odbywają się targi w dniu jej patrona św. Jana, jak również przy mostach odrzańskich, do których tulą się karczmy — zajazdy. Dochody z nich pobiera z łaski książęcej bądź to biskup, bądź też później szereg klasztorów. Na północ od dzisiejszego koryta rzeki, na tzw. Olbinie stoi dworzyszcze Piotra Własta, gdzie mieszka ów legendarny bogacz, szwagier książęcy, z żoną Marią, księżniczką ruską, z synem Świętosławem i córką, którą pojmie z czasem w małżeństwo Jaksa, słowiański książe Braniborza i Kopanicy, władający pod samym Berlinem. Z tego to dworzyszcza padnie niejedno słowo przestrogi, gdy krajem zacznie rządzić Piotrowy siostrzan a syn pierworodny Krzywoustego Władysław. Tu, jak mówi podanie, napadną na Piotra za sprawą żony Władysława Agnieszki, przyrodniej siostry cesarskiej, siepacze książęcy, aby wielmożę uwięzić, oślepić a wreszcie wygnać. Ale do tego jest jeszcze daleko. Przedtem wstaną we Wrocławiu one bogate fundacje Piotrowe: na Olbinie w pobliżu dworzyszcza kościół i klasztor benedyktynów pod wezwaniem św. Wincentego, a na wyspie piaskowej, sąsiadującej z tumską, kościół i klasztor P. Marii kanoników regularnych......"[3]).

Jest to typ gawędy historycznej, gawędy która ma swoje tradycje, zainicjowane w najpopularniejszym wydaniu „Wieczorami pod lipą". Jakżeż jednak daleko posunęliśmy się w tym gatunku pisarstwa, przeznaczonym dla „maluczkich". Narracja jest tu bardzo żywa. Wprowadza wiele elementów. Mówi o życiu gospodarczym środowiska, rzuca na to tło interesujące postacie historyczne. Cały tok opowiadania konstruowany jest w myśl zasady: wciągnąć czytelnika w zagadnienie, rozbudzić jego dalsze zainteresowanie.

A teraz inny fragment, posługujący się trafnie dobranym chwytem pisarskim, Zbyszko Bednorz daje reportaż — „Wschodzi pekój". Oto jego próbka:

„Ale nie można zaprzeczyć jednemu faktowi: dopiero ten trud przez nas podejmowany i codziennie w każdej godzinie ofiarowywany ojczyźnie czyni z Dolnego Śląska ziemię bogatą. Mylą się ci wszyscy, którzy mówią: otrzymała Polska bogate w przemysł i wartości rolniczo-hodowlane, bogate w surowce i źródła mineralne ziemie dolnośląskie. Ziemie te dopiero stają się bogate przez nasze inwestycje pracy i miliardów złotych. Bez tego są one w niektórych aspektach biedne, biedniejsze, niż się wydaje.

Cóż z tego, że np. przejęliśmy teoretycznie kopalnie różnych rud, jak: miedzi, chromu, magnetytu, ekcia fachowy sprawozdawca informuje. „Kopalnia miedzi wraz z zakładami przeróbczymi „Lena" w pow. złotoryjskim zatopiona, urządzenia fabryczne zdemontowane i wywiezione. Kopalnia niedzi „Konrad", kopalnia anhedrytu w Łubkowie oraz huta miedzi „Wizów" w pow. bolesławieckim całkowicie zniszczone. Kopalnia niklu zatopiona, zakład przetwórczy „Szklarzewice" zdemontowany. Kopalnia *chromu* „Tomadło" w pow. świdnickim unieruchomiona. Kopalnia magnetytu „Wolność" w Kowarach

Misc. V. no. 6, 43.

Vorbott Der Polnischen Sprachkunst.

Goniec GRAMATYKI POLSKIEY, Przez MACIEJA GUTTHETERA DOBRACKIEGO. Wyprawiony.

Drukował w Oleśnicy/ Jan Zayffert/ Roku Pańskiego M. DC. LXVIII.

Gramatyka polska Dobrackiego wydana w Oleśnicy w 1668 roku

zatopiona. Obecnie częściowo odwodniona do głębokości 420 m. Kopalnia hematytu w pow. jaworskim zatopiona i zniszczona wskutek działań wojennych; obecnie podjęto pracę nad uruchomieniem. W Bolesławcu spalonym w 75% uległ całkowitemu zniszczeniu słynny tu niegdyś wielki przemysł ceramiczny; dziś czynne tylko maleńkie warsztaty ceramiczne.

To są nasze bogactwa zamknięte w cudzysłów"[4]).

Widzimy, że autor ma na myśli określonego czytelnika — jest nim tzw. „szary obywatel", którego chce się wciągnąć emocjonalnie w proces odbudowy, z którym dzieli się troski i radości tego procesu. Chce się w nim równocześnie rozbudzić ofiarność i słuszną dumę z objęcia warsztatu pracy, na któ-

[1]) Dr Jan Dylik: Geografia Ziem Odzyskanych.

[2]) Ibidem str. 245—8.

[3]) „Dolny Śląsk". Część II. Inst. Zachodni, Poznań — Wrocław, 1948, str. 22.

[4]) Ibidem, str. 277.

PETER BLACKMAN

WRAŻENIA Z KONGRESU*)

Wielki poeta angielski Wordsworth określiił kiedyś poezję jako wzruszenie doznane w ciszy. Piszę to w Warszawie, gdzie potwierdza się definicja Wordswortha — nie piszę jednak wierszy, chociaż bywam uosobieniem wewnętrznego spokoju.

Bo widok Warszawy niweczy cały spokój umysłu. Jest ona być może symbolem Polski, gdyż pomimo zniszczenia, przypomina piękną kobietę, która straciwszy wszystko, co wysoko ceniła, najpierw płacze, a potem — zaniechawszy próżnego żalu — powraca czym prędzej do równowagi i naprawia doznane zło.

Podobne wrażenie odniosłem w czasie swego krótkiego pobytu we Wrocławiu. Myślę, że należy to zawdzięczać nowemu duchowi, jaki zapanował i w Polsce i w całej wschodniej Europie. Obradujący we Wrocławiu Kongres Intelektualistów jest tego ducha wyrazicielem. Rządy nauczyły się szykanować, a w najlepszym razie albo ignorować swoich intelektualistów, albo też czynić z nich narzędzie swojej polityki. Jest to pierwszy chyba wypadek w historii, że rząd oddaje wszelkie środki, jakimi dysponuje, na usługi myślicielom wszystkich krajów, gromadząc ich na obrady nad zapewnieniem pokoju na świecie.

Wszyscy, z którymi zetknęli się przybyli do Polski obcokrajowcy, okazali niezwykłą gościnność — począwszy od służby hotelowej, a skończywszy na zbierających się każdego dnia grupach towarzyszących. W tym miejscu chciałbym wyrazić szczególną wdzięczność przewodnikom, którzy rozumnie i po ludzku chronili gości przed kłopotliwymi sytuacjami.

Opisywanie istotnych wydarzeń kongresowych nie należy do mnie. Każdy był szczęśliwy, mogąc spotkać ludzi o pokrewnych zainteresowaniach czy też ludzi, których czynny udział w walce o wolność podtrzymywał na duchu w chwilach zwątpienia.

Widok Warszawy utwierdził mnie w przekonaniu, które było jednocześnie wydźwiękiem z końcowych obrad kongresu: że nie może być dróg pośrednich pomiędzy drogą życia i drogą śmierci. Przedstawicieli Związku Radzieckiego, którzy już na wstępie, zwrócili na to uwagę, pomawiano o chęć zerwania Kongresu. Uchwalona rezolucja pokazała najlepiej słuszność ich postępowania, nie dopuszczającego prawa azylu dla reakcji, zamaskowanej w niejasnych wypowiedziach. Bo obok doświadczenia politycznego delegaci ZSRR jak i innych krajów Wschodniej Europy mają szczególnie dużo doświadczeń z nazistowskim bestialstwem.

Mówię, jako ten, który przebywał w czasie wojny stale w Londynie, przeżył grozę nalotów i broni V1. Jednak stwierdzam bez wahania, że największy koszmar bombardowania Londynu wydaje się niczym w obliczu ruin Warszawy. Nie chcę bynajmniej przez to powiedzieć, że pragnąłbym zobaczyć Hiroszimę.

Będziemy jednak świadkami rzeczy gorszych od Hiroszimy, jeżeli wszyscy ludzie na świecie nie wykażą się nie tylko dobrą wolą, ale i rozumem, i jeżeli czynnie nie przeciwstawią się tym, którzy zamierzają zniszczyć ludzką rasę. Mówiąc jaśniej, należy wyraźnie określić, kto chce wojny i dlaczego jej chce. Z tego właśnie zdała sobie sprawę większość aktywnych uczestników Kongresu... Dano wyraz poglądowi, że filozoficzna demagogia, degradująca ludzi jednej części świata do roli stanu niższego, wiedzie prostą drogą do komór gazowych i temu podobnych produktów mentalności Herren-Volk'u.

Trzeba chronić ludzkość przed podżegaczami wojennymi i zniszczyć podstawy umożliwiające w wielu jeszcze krajach uczonym, pisarzom i sporemu odłamowi reszty społeczeństwa podzielanie zamysłów podżegaczy wojennych. Jeśli duch, w jakim obradował Kongres, zostanie utrzymany, zamierzenia te zostaną urzeczywistnione.

W Związku Radzieckim mamy potężnego rzecznika pokoju. Państwa z nim sąsiadujące są drugim źródłem tej samej siły. Ludzie dobrej woli przyczynią się do sprawy pokoju jeśli podejmą wysiłki zmierzające do zapobieżenia atakowi na te państwa, i jeśli będą popierać ugruntowanie się gospodarki socjalistycznej w swych własnych krajach.

To uważam za istotne posłannictwo Kongresu, za pierwszy, ale bardzo ważny krok. Wszyscy, którzy spotkali się we Wrocławiu, muszą zadecydować, jak najlepiej można by w zasięgu ich działalności i wpływów dojść do gospodarki socjalistycznej.

Jeśli przy tym potrafią odróżnić tych, którzy głosują za życiem, od tych, którzy wolą wojnę i śmierć, odczują także doniosłość zadania, jakie na nich spoczywa, zadania, od którego nie zdołają ich odwieść nawet najzręczniej sformułowane lecz puste przesłanki liberalizmu.

Przełożyła Maria Skroczyńska

*) Peter Blackman, pisarz murzyński z Jamajki, oficjalnie wchodził na Kongresie Wrocławskim w skład delegacji brytyjskiej, reprezentował jednak podobnie jak Aimé Cesaire, którego przemówienie drukujemy na stronie drugiej — walczące o wolność ludy kolorowe, ciemiężone przez system imperialistyczny. Przemówienie Cesaire'a było jednym z najpiękniejszych, jakie usłyszeliśmy w serii wystąpień ludów kolonialnych.

tym tyle jest do dokonania. Chce się zaapelować do polskiego robotnika, który ten warsztat przejmuje we własne i rozumne gospodarowanie.

I jeszcze jedna próbka. Wyciągniemy ją z rozdziału, traktującego o procesie tworzenia się nowego społeczeństwa na terenach Ziem Odzyskanych. Autorem jest młody uczony Stefan Golachowski, specjalizujący się w zagadnieniach demograficznych Śląska:

„Drugą najliczniejszą jednostkę ludności napływowej obok przesiedleńców z Polski środkowej stanowią tzw. repatrianci zza Buga. W przeciwieństwie do przesiedleńców repatrianci w pierwszym okresie nie chcieli rozbijać swych grup sąsiedzkich dążąc do odtworzenia w nowych warunkach swego życia zbiorowego, przerwanego przez przesiedlenie. W wielu miejscowościach stanowią oni jednorodną większość. Czy jednak udało im się odtworzyć przeszłość?

Już sam fakt przesiedlenia wywołał najrozmaitsze przemiany. W zetknięciu z nową ziemią, z b. niemieckimi urządzeniami gospodarczymi i kulturalnymi prawie każdy repatriant poddać musiał rewizji swą dotychczasową wiedzę, przyzwyczajenia i upodobania. Wreszcie ludność ta stanęła jeszcze przed jednym, może najistotniejszym problemem: Struktura społeczno-gospodarcza nowego terenu po pełnej jego odbudowie pozwoli ledwie 30% ludności pracować w rolnictwie, reszta odpłynąć musi do innych zawodów. W takich warunkach mowy być nie może o odtworzeniu dawnego życia. Repatrianci więc chcąc niechcąc porwani zostali w wir przemian socjalnych, zawodowych i kulturalnych, które stanowią istotę życia polskiego na Ziemiach Odzyskanych. Stąd nie powstały nowe Rodatycze czy Bilka Królewska na Śląsku, lecz spękała się stara więź. Im zaś dłużej jakiś zespół repatriantów opierał się nurtowi przemian i przystosowaniu się do nowych warunków, tym bardziej spóźniał się w wyścigu życia i pracy, tym więcej tracił" [5]).

Widzimy jak zmienia się tok narracji. Książka powoli nabrzmiewa elementem refleksyjnym. Wciąga czytelnika gawędą historyczną, zbliża do problemu reportażem, końcowymi partiami zmusza do współrefleksji. Wydawnictwo — wydaje nam się — dokonało dużej roboty dydaktycznej. Uczy czytelnika, podsuwając mu w pierwszym rzucie najłatwiejsze formy percepcji, a kończąc formami dojrzalszymi, do których odbiorca już dojrzał przez poprzedniejsze wczytanie się w tekst.

Książka jest bardzo starannie wydana, na pięknym papierze, świetnie ilustrowana, ma dodane starannie opracowane mapy. Jest to wydawnictwo luksusowe. Jedynym jej mankamentem jest to, że drogo kosztuje. A należałoby ją puścić w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy. Powinna dotrzeć do świetlic robotniczych, do bibliotek szkolnych, do samouków.

***

Inny zupełnie kaliber przedstawia wydawnictwo Książnicy — Atlas: „Oblicze Ziem Odzyskanych — Dolny Śląsk". Zabawne były dzieje tej książki. U jej powstania leżał zgoła niewinny i prosty cel. Komitet redakcyjny w słowie wstępnym mówi: „Wydawnictwo niniejsze sięga swą genezą jeszcze ostatnich miesięcy 1945 r., czyli owych dni, gdy wśród szeregów osadników dolnośląskich rozpoczynały dopiero swe prace również nie obyte jeszcze z nowym terenem kadry pracowników oświatowych.

Grupa osób, związanych tradycją przedwojennej współpracy z zasłużoną lwowską firmą wydawniczą Książnicą Atlas, odbudowującą właśnie swą placówkę we Wrocławiu, rzuciła wówczas — bodajże pierwsza — inicjatywę rozpoczęcia na miejscu szerokiej akcji odczytowo-wydawniczej. Akcja ta miała na celu dopomóc pracownikowi oświatowemu poznać naukowo i zgodnie z niefałszowaną prawdą przeszłe i obecne oblicze Dolnego Śląska, a poznawszy je rozkochać się w Odzyskanej ziemi, wróść w nią i, popularyzując wśród szerokich kół pozyskaną wiedzę Śląskoznawczą, przyspieszać z kolei i ich proces zespalania się ze Śląską ojczyzną. Inicjatywa nie tylko została podjęta przez Książnicę, ale zbiegając się z dążeniami Kuratorium Okręgu Szkolnego Wrocławskiego i Biura Ziem Odzyskanych w Ministerstwie Oświaty, doznała również od obu wspomnianych czynników wydatnej organizacyjnej i materialnej pomocy. Podobnie z pełnym zrozumieniem ustosunkowało się do sprawy grono profesorów wyższych uczelni wrocławskich, a obok nich kilku uczonych krakowskich i badaczy z ośrodka górno-śląskiego" [6]).

I tak zaczęło się od projektu wykładów na kurs informacyjny o Śląsku. Wykłady odbyły się w 46 roku we Wrocławiu, powtórzono je dwukrotnie w Szklarskiej Porębie w 46 i 47 roku. Tematycznie było to to samo, ale pod względem treści i jej pogłębienia prelekcje coraz bardziej się bogaciły i wysubtelniały naukowo. Końcowym ich rezultatem jest dwutomowe dzieło, które ma wartość publikacji naukowej. Na pierwszy tom złożyły się prace uczonych, wybitnych specjalistów: geografów, zoologów, botaników, znawców zagadnień przemysłowych i rolniczych. Dla ilustracji podajemy tytuły kilku rozdziałów: Julian Czyżewski: „Krajobraz Niżu Śląskiego", Stanisław Tołpa: „Roślinność Śląska", Kazimierz Sembrat: „Fauna Śląska i jej zoogeograficzne nawiązania" Wincenty Styś: „Rolnictwo na Dolnym Śląsku", Antoni Wrzosek: „Przemysł na Dolnym Śląsku".

Tom I spełnia określone zadanie — daje pełny ogląd Dolnego Śląska w aspekcie zużytkowania gospodarczego. Tom II: „Dzieje, Kultura" odpowiada na pytanie inne. Chce przedstawić związki Ziem Odzyskanych z macierzą, wykreśla więc historyczne powiązania tych ziem z Polską centralną w zakresie wspólnoty politycznej, społecznej i gospodarczej. Przyjrzyjmy się indeksowi kilku wybranych zagadnień, nie podając z braku miejsca ich pełnego składu i tak: Maleczyński K. pisze o związkach politycznych Śląska z Polską, Inglot St. — o wsi i chłopie polskim na przestrzeni wieków, Rospond Stanisław — o polskości Śląska w świetle języka, Olszewicz B. — o polskości Śląska w świetle źródeł geograficznych i kartograficznych, Szewczyk W. — O Śląskim trudzie literackim, Florian Wł. — O czasopiśmiennictwie, Mikulski T. — o życiu kulturalnym Wrocławia w XIX w. Zainteresowanych odsyłam do samej książki. Autorzy to prawie wszyscy członkowie Wrocławskiego Towarzystwa Naukowego. Gdy się zważy, że warunkiem dostania się do Towarzystwa jest pełne przygotowanie naukowe, to trzeba stwierdzić, że książka ta jest pozycją trzeba stwierdzić, że książka ta jest pozycją wyjątkowo cenną, pisaną przy użyciu całego dostępnego aparatu naukowego. Wykorzystano w niej wszystkie dokumenty z archiwow niemieckich, zużytkowano całą dotychczasową wiedzę o przedmiocie. Książka prócz walorów naukowych posiada i inne zalety. Jest pisana żywo i przystępnie. Wystarczy spojrzeć dla próby na jej partię może najbardziej dla specjalistów. Myślę o artykule profesora Czyżewskiego: „Krajobraz Niżu Śląskiego". Czytelnik natrafia tu na język po prostu literacki. Autor daje żywą plastyczną wizję dokonujących się przemian krajobrazu śląskiego. W opisie dają się uchwycić różne perspekywy oglądanego krajobrazu Autor przedstawiając strukturę geologiczną danego terenu, mówi natychmiast o jego wartości użytkowej, pokazuje jak historycznie ten teren był eksploatowany i jakie są jego dalsze możliwości. Uczony geograf nie pracuje tu w jakiejś odizolowanej naukowej próżni; w opis wizualny włącza elementy gospodarcze, dając dzięki temu prawie pełną zamkniętą wiedzę o ziemi opisywanej. Tak sytuacja wygląda prawie w każdej z prac. Rzecz jest zresztą do sprawdzenia. Niżej podpisany nie czuje się uprawniony do merytorycznej oceny wydawnictwa. Zadanie, jakie sobie postawił mieści się w typie sprawozdania, które można by nazwać reportażem o książkach. Ze swojego punktu widzenia pragnie on dodać, że wydawnictwo omówione to encyklopedia wiedzy o Dolnym Śląsku. Czytelnik otrzymuje w tej książce zamknięty i wykończony obraz historyczny, gospodarczy i kulturowy regionu, jednego z najciekawszych na Ziemiach Odzyskanych.

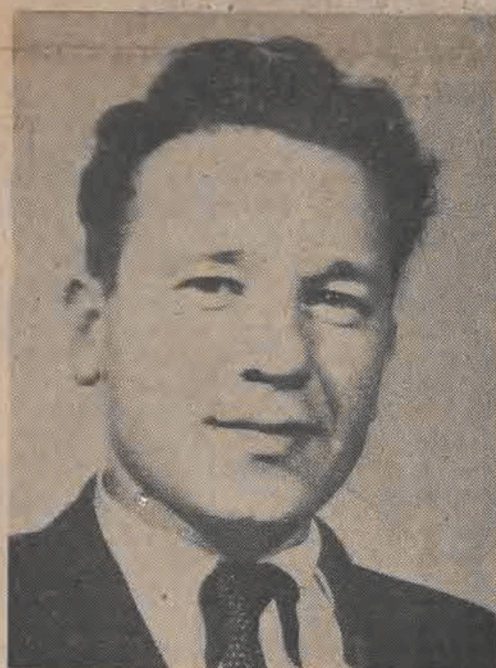
Leonard Sobierajski

[5]) Str. 484, 486.

[6]) Oblicze Ziem Odzyskanych — Dolny Śląsk, tom I. Książnica Atlas. — Wrocław — Warszawa, 1948, str. 11.

WANDA LEOPOLDOWA

OPOWIADANIA BOROWSKIEGO



Tadeusz Borowski

„Pożegnanie z Marią" to debiut książkowy Borowskiego. Ma on wprawdzie za sobą odbity w r. 1942 na powielaczu cykl poetycki „Gdziekolwiek ziemia...", również powielany „Arkusz poetycki", wydany przez przyjaciół w r. 1944, tomik p. t. „Imiona nurtu", wydany przez Oficynę Warszawską w r. 1945 w Monachium, w zakresie prozy zaś jest współautorem, lub raczej głównym autorem książki, opracowanej wraz z Siedleckim i Olszewskim, a wydanej również przez Oficynę Warszawską na obczyźnie w r. 1946 p.t. „Byliśmy w Oświęcimiu", jednakże „Pożegnanie z Marią" jest pierwszą normalnie na gruncie polskim wydaną książką autora i zsumowaniem (aczkolwiek niepełnym) jego twórczości prozatorskiej, rozproszonej po czasopismach. Układ opowiadań w tomie wyznaczyła zapewne chronologia tematyki: opowiadanie pierwsze, tytułowe — to okupacyjna Warszawa; dwa następne — to obóz w Oświęcimiu; „Śmierć powstańca" — mały obóz koncentracyjny już po przeniesieniu z Oświęcimia w r. 1944; i wreszcie końcowa „Bitwa pod Grunwaldem", to „zaraz po wojnie" w Niemczech. Opowiadania te mają wiele cech wspólnych, które już dzisiaj zdają się określać fizjonomię twórczą Borowskiego, ale posiadają też i wiele odrębności, którym warto się przyjrzeć.

Od reszty opowiadań nastrojem i techniką odbija przede wszystkim „Pożegnanie z Marią". Środowisko młodej cyganerii artystycznej w okupacyjnej Warszawie. Nocna zabawa, przewijające się pary, a w drugim pokoju rozmowa o miłości i sztuce. Inne tło, ale wciąż sceneria „Wesela" czy „Oziminy". A ponieważ w tej książce, tak niemal zupełnie pozbawionej elementu wypowiedzianej refleksji, zaraz na pierwszych kartach spotykamy ową „zasadniczą" rozmowę o miłości i sztuce, czytelnik chwyta skwapliwie słowa narratora jako „porte parole" autora: „To widzisz jest tak. Gdyby można było rozumieć cały świat, czuć cały świat, widzieć cały świat, tak jak się rozumie swoje myśli, czuje się swój głód, widzi się okno, bramę za oknem i chmury nad bramą, gdyby można było widzieć wszystko jednocześnie i ostatecznie, wtedy... miłość byłaby nie tylko miarą, ale i ostateczną instancją wszystkich rzeczy. Niestety, zdani jesteśmy na metodę prób, na samotne zwodnicze przeżycie. Jakże to niepełna, jakże fałszywa miara rzeczy!" Może istotnie jest w tym zapowiedź dlaczego następne opowiadania, ukazujące najcięższe próby człowiecze, całkowicie eliminują indywidualne przeżycie, ale może jest to tylko jedna z odbitek stylu autora w opisywanych przez niego w tym opowiadaniu czasów, stylu, którym przetykane jest całe opowiadanie. Występuje to przede wszystkim w opisach odmiennych od uderzających zwykle prostotą i oszczędnością opisów Borowskiego, a łączy się wyraźnie z atmosferą i kolorytem tomiku poetyckiego „Gdziekolwiek ziemia..." Zaraz w pierwszych zdaniach czytamy: „Spalony dom czernieje po drugiej stronie ulicy na wprost furtki w ochronnej siatce zakończonej srebrzystym drutem kolczastym, po którym jak dźwięk po strunie ślizga się fioletowy odblask migocącej latarni ulicznej. Na tle burzliwego nieba, na prawo od domu, omotane mlecznymi kłębami dymu lokomotyw, patetycznie rysuje się bezlistne drzewo, nieruchome w wichrze". I dalej latarnie są „fioletowe", „elektryczne błyski rozświetlają fiolet nieba", cały świat spowity jest w tony sino-fioletowe, „gnają pierzaste obłoki". „drży niebo głębokie", o zmierzchu pozostaje tylko „...gorący puls, którym bije ciało człowieka i głucha tęsknota do przedmiotów i uczuć, których człowiek nigdy nie zazna". To świat poetycki Borowskiego z r. 1942. spowity w kosmiczne mgły, nad którym „stalowy, niski klosz nieba fioletem nocy się błyska", nad którym „Goreją gwiazdy". Dławiący, trupi nieba fiolet", i w którym ludzie dźwigają „Wszechświata ciężar, walący się na nas lawiną".

Biorąc pod uwagę, że opowiadanie to zostało napisane najpóźniej ze wszystkich opowiadań w tomie. nie wydaje się prawdopodobne, by mogły to być nieświadome reminiscencje stylu z tamtego czasu. Jest to raczej świadoma próba opowieści o danym środowisku i czasie jego ówczesnym językiem. Ale jeśli tak — próba wydaje się chybiona. Mamy wprawdzie i w tym opowiadaniu kapitalnie zaobserwowany i zarysowany obraz nielegalnego handlu warszawskiego ale jest on tak wtopiony w ogólny styl opowiadania, że nie narzuca się czytelnikowi jako kontrast. Jednym słowem zawodzi wrażenie stylizacji języka, który odczuwamy wprost jako sztuczny i drażniący.

Inne zupełnie zagadnienia nasuwają trzy następne opowiadania tomu, o tematyce obozowej, które zaraz po ukazaniu się ich w prasie wywołały ostre sprzeciwy i dyskusje. W opowiadaniach tych Borowski użył techniki, określanej ogólnie mianem behawiorystycznej: a więc fakty i zewnętrzne zachowanie się postaci wobec nich. Żadnego komentarza autorskiego, żadnego psychologizowania. Metoda ta zastosowana do zagadnień tak skomplikowanych i drażliwych, jak etyka wojenna, a etyka obozowa w szczególności, zaskakuje czytelnika, przywykłego w literaturze polskiej do wnikania w intencje jednostki, do ukazywania określonych bohaterów na tle wydarzeń i t. p.

W opowiadaniach Borowskiego żadna z przewijających się postaci nie gra „głównej roli". Obóz nie jest tłem. Mimo, że opowiadania pisane są w pierwszej osobie, narrator jest tylko jednym z ludzi w ogólnym kalejdoskopie i nie zapada głębiej w pamięć czytelnika niż inne przesuwające się postacie. Zawartość opowiadań — to mechanizm systemu obozowego i jego skutki. Deprawację moralną człowieka w obozie, jaką dobitnie i drastycznie ukazuje Borowski, uważano z jednej strony za wyraz niewiary w człowieka i „zarażenie śmiercią", z drugiej za „świadomą prowokację moralną". Istotnie, ta nieustanna „zabawa w chowanego" ze śmiercią, której świadkami jesteśmy, daje w wyniku proste przekonanie, że nie ma dla człowieka innej i wyższej wartości niż samo życie. I że człowiek w obozie — to tylko gracz o takie życie. Można wprawdzie wydobyć, jak to starannie i trafnie wykazał K. Wyka w swojej recenzji („Odrodzenie" 1948, nr 23) jakąś minimalną wysepkę moralności specyficznie lagrowej, można zrzadka, czasem tylko z wielokropka autorskiego wychwycić moment wzruszenia („Świsnęła trzcina, kobieta krzyknęła, potknęła się i upadła pod nogi tłumu. Dziecko biegnące za nią pisnęło „mamełe" — taka mała, rozczochrana dziewczynka..."), ale trzeba powiedzieć, że ogólnie opowiadania obozowe Borowskiego, to do dna zobiektywizowany obraz słabości ludzkiej wobec systemu. Dlatego może nie sprawa: „zarażenie śmiercią" czy „prowokacja moralna?" wydaje się w tych opowiadaniach najistotniejsza, ale dwa nieco inne zagadnienia. Zasadnicze bowiem, wynikające z tych opowiadań stwierdzenie, to najsilniejsze może w naszej literaturze powojennej ostrzeżenie przed systemem — systemem zawsze urabiającym człowieka, którego moralność nie jest żadnym „absolutem". I druga przesłanka — że jedynym miernikiem etyki jest postępowanie człowieka. Zagłębianie się w samotne, jednostkowe przeżycie określił autor jako „fałszywą miarę rzeczy"; odrzucił też całe kompleksy sytuacji indywidualnych, które przyporządkowane jednostkom tłumaczą zazwyczaj ich postępowanie. Zastosowanie metody behawiorystycznej do takich zagadnień jest zarazem wyraźnym określeniem miernika oceny etycznej. To jeszcze jeden z dowodów podkreślanej często odwagi pisarskiej Borowskiego.

Opowiadania obozowe są w swojej kompozycji jakby doskonałymi wycinkami z wielkiej taśmy filmowej. Nie są zamknięte żadnym uogólnieniem, nie rzutują się metaforą. Inaczej jest w zamykającym tom opowiadaniu „Bitwa pod Grunwaldem". Opowiadanie to, jak i wszystkie inne opowiadania Borowskiego, należy do typu „przekrojowych", ukazujących przede wszystkim pewne środowiska czy skupiska ludzkie. Zdolność obserwacji cechująca Borowskiego, połączona tu została, jak w żadnym z innych opowiadań z dojmującą ironią. Obserwujemy tu wyjątkowo wyraźnie charakterystyczną postawę pisarską Borowskiego, która gdzie niegdzie wysuwa się nawet w opowiadaniach obozowych: postawę ironisty. Wszystkie wypowiedzi narratora mają tę zdecydowaną barwę, a bogactwo sylwetek i wydarzeń, nagromadzonych w toczącej się w jednym dniu akcji, kreślone jest niejednokrotnie z pasją satyryka.

Najłatwiej uchwytną, choć może najtrudniejszą do określenia cechą twórczości Borowskiego, jest wolterowska niemal pasja w nicowaniu naszego „najlepszego ze światów". Ten typ temperamentu twórczego sprawia, iż Borowski jest, jak dotychczas, przede wszystkim pisarzem—używając określenia Boya o Wolterze — „ciskającym kamienie do ogródków". Ale ogródki to wcale niemałe. Borowski bowiem, jak to już było podkreślane, sięga zawsze do zawiłych i aktualnych spraw społecznych, z przenikliwością ukazując ich bardziej jeszcze złożone komplikacje i nie pomijając stron „wstydliwych". Interesuje go przede wszystkim środowisko, grupa, zespół, ich mechanizm wewnętrzny i wzajemne stosunki. Z predylekcją tą łączy się również niezwykła umiejętność w plastycznym przedstawieniu tłumu czy zbiorowiska ludzkiego. Obok podkreślanej przez krytykę celności w operowaniu dialogiem, jest to drugie z najsilniejszych ekspresyjnie osiągnięć w jego technice pisarskiej. Dość przypomnieć opisy bloku, transportu, więźniów oczekujących na zupę, ciągnącej na mszę generalicji, maszerującego batalionu i t. d. Połączenie tych wszystkich cech stwarza typ indywidualności nie często spotykany w naszej literaturze. Pełna gwałtowności, a czasem i przekory odrębność postawy pisarskiej Borowskiego, poparta jest już w tym pierwszym tomie (z wyjątkiem opowiadania tytułowego) trafnością wyboru środków ekspresji. Lipcowy areopag krytyków książkę tę ocenił bardzo wysoko. Istotnie, nie jest to debiut, który byłby tylko zapowiedzią. Książka ta jest już określoną pozycją, ale pozycją otwartą. Z każdej karty tej książki bije bowiem niespokojna czujność autora, która każe spodziewać się więcej

JERZY MILLER

PO POWSTANIU

PODUMAWSZY chwilę nad obdrapanym pokojem, o piecu z powybijanymi kaflami, zeszedł po skrzypiących schodach. Twarz miał zarośniętą, szyję okręcał szalikiem spiętym agrafką. Jego towarzysz stał na półpiętrze. Był ubrany w kombinezon o wszytych na kolana skrawkach odmiennego materiału. Piwnica, w której zanurzyli się tchnęła wilgocią pleśniejących szmat. Wkopywali się w zwały odzieży uważając, aby nie tknąć rękami ekskrementów. Łopaty ustawili przy wyjściu.

Najwięcej walało się bielizny i trzewików — jak mówili — „od pary". Odrzucali je ku schodom, aby później dowolnie w nich przebierać. Przestali rozmawiać zajęci odkładaiem rzeczy, które przypadły im do gustu. Brnęli w ciepławej i parującej gmatwaninie po kolana. Marian uspokoił się, gdyż przypuszczał, że szmery rozmów i hałas, jaki wywoływały ich kroki nie wydobywa się na zewnątrz. Nieco światła przedostawało się do piwnicy przez okienko wystające górną częścią nad płyty podwórza, powielone bielą śniegu. Dopiero za kilkoma narożnikami zniszczonych ulic wzbijał się ledwie słyszalny zgiełk motorów, przemierzających uprzątniętą z barykad magistralę.

— Spójrz Marian! Mój but! — A to się naczekał! — odezwał się Henryk zadowolony, że go oczekiwania nie zawiodły.

— Jak co robię, to wiem co robię — dokończył zniżonym do szeptu głosem. Później odezwał się jeszcze raz wspominając fryzjera, którego czarny garnitur odłożył na stos wysegregowanych rzeczy. Marian przynaglał Henryka do pośpiechu doradzając mu, aby wybierał jak najmniej przedmiotów, gdyż w przeciwnym razie nie potrafią sprawnie i niedostrzeżenie przedostać się do stacji. Zapewniał — myśląc wręcz przeciwnie, że mogą jeszcze jutro przyjść, jeśli tylko tym razem im się poszczęści. Pamiętał kredowe twarze rozstrzelanych przez Niemców okopiarzy, których ciała z przewieszonymi przez piersi tablicami ostrzegawczymi podpierały zweglone ściany na rogatkach miasta. Obaj nie rozumieją po niemiecku i nie potrafiliby w razie potrzeby wytłumaczyć Niemcom, że przyszli do swojego domu. Właściwie to tylko Henryk w nim zamieszkiwał przed powstaniem, na co przecież nie miał dowodów. Marian wiedział, że takie tłumaczenie byłoby zaledwie natury psychologicznej. A zresztą — myślał — teraz obowiązują przepisy frontowe. I mimo, że omówili sprawę z Volksdeutschem Graberem, który dał im ciche przyzwolenie opuszczenia robót, spodziewając się, że otrzyma swoją część, mimo to Marian zaczął żałować lekkomyślnie powziętej decyzji. W zasadzie — uspokajał się — o zmierzchu, gdy będą powracali bezpieczeństwo powrotu jest większe, możliwość natknięcia się na sztrajfę mało prawdopodobna, lecz gdyby się na nią trafiło, to wtedy pożegnaj się! Po zgaszeniu śliną papierosa wziął się napowrót do szperania.

Przez szczelinę wdarła się smuga światła. Tak był przybity myślami, że zaprzestał kopania w stosie odzieży poznoszonej do piwnic jeszcze w trakcie powstania z obawy przed nalotami. Przypomniał sobie jak bardzo zależało mu na dostaniu się tutaj i jak teraz unicestwia się strachem. W ciągu tygodnia obserwował jak robotnicy przedsiębrali wyprawy do miasta, przydźwigując stamtąd toboły szabru i pamiętał jak im wtedy zazdrościł. Dlaczego — zastanawiał się — nie weszli do pierwszej z rzędu piwnicy, a zdecydowali się przecinać pokaźną ilość przecznic, zwiększając znacznie możliwość spotkania Niemców, patrolujących miasto. Czuł złość do siebie, że uległ namowom Henryka i nie cofnął się z połowy drogi. Powracając z pustymi rękami mógł liczyć, że nawet gdyby go ujrzeli Niemcy, nic by mu się nie stało.



Gdy rozległy się czyjeś kroki, Henryk przebiegł przez stertę garderoby, porwał łopatę opartą o widoczne miejsce i stanął skulony we wnęce, głową dotykając sufitu. Para wydobywająca się z ust uwidaczniała się na ciemnym tle ścian. Marian musiał stanąć zgarbiony, gdyż inaczej nie mógłby się skryć w ogóle. Obaj podpierali się łopatami, aby w szczupłym pomieszczeniu nie utracić równowagi. Usłyszeli urywki rozmowy prowadzonej w języku niemieckim. Przed okienkiem przeszły dwie pary butów, pierwsze nogi w granatowych nogawkach z czerwoną wypustką. Drugie w wysokich feldweblowskich butach o niewidocznych z miejsca, które zajęli, bryczesach. Niemcy zeszli po schodach i nadal głośno rozmawiając zaczęli wertować odłożone na bok rzeczy. Henryk wychylił się, lecz Marian z trudem utrzymujący się w niewygodnej pozycji natychmiast dociągnął go na poprzednie miejsce. Już był zdecydowany opuścić kryjówkę, gdy Henryk na migi wskazał błyszczące krańce łopaty, jakby dając do zrozumienia, że jest się czym bronić. Na samą myśl o takim rozwikłaniu niebezpieczeństwa, Marian zdrętwiał.

Niemcy przerzucając sterty ubrań przybliżali się do wnęki Gdy jeden z nich wysunął się do przodu na klęczkach, odwrócony tyłem, wtedy Henryk zamierzył się łopatą i z siłą uderzył Niemca w tył głowy. Drugi Niemiec w kolejarskim mundurze natychmiast rzucił się ku schodom i wybiegł na podwórze. Wtedy spostrzegli, że zabity, czy zemdlony, którego włosy zlepiła krew był w mundurze organizacji Todt'a. Nie było chwili do namysłu. Henryk podniósł uprzednio naładowany worek i biegiem wspiął się na podwórze, skąd następnie, zamiast wyjść zeń poprzednią trasą, skierowali się przez otwór w ścianie w stronę rumowisk przysypanych świeżym śniegiem.

Po wyminięciu kilku kikutów ruin zmierzali w stronę mostu kolejowego. Kierowali się zmysłowym poczuciem kierunku, tracąc rozeznanie w rzędzie upodobnionych do siebie zgliszczy. Marian ciągle przyśpieszał kroku, nie zważając na brzęki łopaty trącającej nierówności terenu.

— Rzuć ten tobół! — szepnął zdyszanym głosem, gdy usłyszeli szmer wywołany cudzym, nieostrożnym chodem. Skryli się w zapadlinie murów. Henryk korzystając z postoju zmienił drewniaki krępujące swobodny marsz na lekkie półbuty. Potem wyjął butelkę wódki i poczęstował Mariana. Na szczęście sztrajfa przeszła bokiem, zagłębiając się w sieć ruin. Później mijali włóczących się po mieście okopiarzy, równie jak i oni wystraszonych nieoczekiwanym spotkaniem.

Usłyszeli huki wstrzeliwującej się artylerii. Pociski biły po dworcu Gdańskim. Odpowiadały im kolejowe działa z Pruszkowa. W rozmaitych punktach miasta wznosiły się słupy dymu. Doszli na miejsce pracy w momencie, gdy Graber przyglądał się ładowaniu węgla. Pozwalał go znosić z bocznic do wagonów roboczego pociągu jako zapłatę za całodzienną pracę. Czas, w którym zezwalano ładować był tak ograniczony, że nikt nie wykorzystywał ani minuty przerwy na pożywienie lub ogrzanie się przy ogniskach rozpalonych nad torami. Przyjście ich zdążył sobie Graber zanotować w pamięci. Ponieważ urywanie się z robót było wówczas w powszechnej modzie, zorientowali się, że oprócz nich wielu robotników opuściło teren stacyjny. Henryk wrzucił swój tobół pod worki załadowanego węgla i przeszedł w kierunku ognia, przy którym grzały się menażki.

Pod działaniem alkoholu Marian uspokoił się zupełnie. Od razu rozdzielili się i zaczęli gorliwie pracować. Lecz po zadowoleniu że udało im się szczęśliwie powrócić wyobraźnia ponownie zaczęła oddziaływać. Był przekonany, że Niemcy trafią do nich, sądził, że odbędzie się jakiś samosąd, myślał, że wszystko zostanie wykryte, że każdy ruch mimowoli zdradza.

Przerażały go przechodzące po moście sztrajfy. Później zdobył się na odwagę zamienienia z Graberem paru słów, jednocześnie czując pod jego bacznym spojrzeniem potęgujący się lęk. W istocie Graber przyglądał mu się podejrzliwie, wiedział bowiem, że Marian nic ze sobą nie przyniósł, przypuszczał więc, że może działał on w stosunku do niego nielojalnie i że szaber zdążył gdzieś przed nim ukryć, a w takim razie przepadłaby mu połowa zysku. Marian sprawdzał w pamięci obecność robotników na terenie robót. Przypominał sobie twarze nieznanych mu bliżej ludzi. Ciągle wracał do ukradkowego obliczania w pamięci obecnych, lecz nieustanny ruch na placu zakłócał porządek tych obliczeń. Nie czuł zimna, podczas gdy inni robotnicy rozgrzewali się, zabijając ramionami i starając się wysilać.

Po południu niebo wykrystalizowało się na kolor ultramaryny i promienie zwilżyły zaśnieżony mur po nasłonecznionej stronie. W przejściu po nasypie, skąd ogarniał wzrokiem duży obręb miasta, przenosząc na trachach mosiężne części rozmontowywanej linii, aby je ładować na platformę doczepioną do wagonów przeznaczonych dla robotników, zatrzymał go Henryk i wręczył mu butelkę, na której dnie połyskiwała odrobina płynu. Przy tym, szepnął, aby w razie rozmowy z Graberem powiedział, że nie poszli do miasta, uświadamiając sobie w pełni niebezpieczeństwo tego kroku Dodał jeszcze, aby usprawiedliwił cofnięcie się obawą przed ruchliwością patroli, które przemierzały ulice częściej, niż kiedykolwiek dotąd. Marian wiedział jak wszystko, co doradzał Henryk nie kleiło się w porządną argumentację. Pamiętał, że nie mógł on ujść uwadze ogółu, gdy obładowany donosił swe rzeczy do wagonu. W wysokim, lecz już zniżającym się słońcu ujrzał dymki po rozrywających się w powietrzu pociskach ścigających niewidzialne samoloty. Był to codzienny obraz, z którym zdążyli się oswoić o tyle, aby nie odrywać się od zajęć.

Niemcy zjechali całym samochodem-autokarem z wygodnymi, bocznymi wyjściami. Nie był to oddział schupo wykonującej z poleceń gestapo łapanki, albo patrol działający pod natchnieniem własnej, sprężystej inicjatywy. Żołnierze po wyjściu z autokaru rozbiegli się wśród ruin okalających teren dworca, zajmując takie pozycje, aby ludzie zbliżający się od strony miasta nie mogli ich dostrzec. Tylko dwóch wojskowych z żółtymi opaskami Festungskommendantur podeszło do Grabera, który bez ciekawości przyglądał się ich manewrowaniu. Po wymianie kilku zdań Graber nakazał robotnikom ustawić się w dwuszeregu i obliczył ilość obecnych. Ponieważ dotychczas obchodziła władze niemieckie jedynie liczba osób wwożonych do ewakuowanego miasta i wywożonych zeń, nigdy nie zastanawiali się nad nazwiskami. Nazwiska znał technik z Baudienstu, który pokazywał się tylko w owe dni, gdy zanosił ausweisy do podstemplowania. Niemcy stwierdzili nieobecność paru robotników. Graber bez skrzywienia przełknął gorzkie uwagi wypowiedziane na temat ucieczek z pracy, machnął ramionami i rozkazał ludziom wrócić do przerwanych zajęć.

Marian był przekonany, że to o nich Niemcom chodziło. W słońcu skrytym za osiadły grzyb zbombardowanej poczty spostrzegał fale rozmaitych barw. Wódka osłabiła w nim zdolność skupienia myśli. W ciągu całego dnia nie przełknął ani kawałka pożywienia. Pamiętał nietkniętą biel śniegu na przestrzeni ich wędrówki i pocieszał się myślą, że przecież przemierzali i nieco udeptane drogi. Pamiętał, że Henryk zmienił obuwie. Widział jak porusza się bez jakiejkolwiek oznaki winy czy niepokoju wśród robotników, omawiających fakt otoczenia dworca przez Niemców z komendy miasta.

Ostatnie kwadranse robót wlokły się przeraźliwie długo. Niemcy dokładnie osaczyli teren dworcowy tak, że powrót z miasta bez zwrócenia na siebie ich uwagi był nie do pomyślenia. Robotnicy poodkładali narzędzia i wpatrywali się w sieć ruin. Wojskowi z opaskami odeszli w stronę autokaru. Marian dostrzegł Henryka w chwili, gdy ten prosił Grabera o pozwolenie doładowania węgla, którego w trakcie przerwy nie zdążył donieść do wagonu. Zobaczył jak przechodząc przez tory oddalał się w kierunku bocznic. Marian świadomie uczuwał potrzebę działania, próbował zawiązywać rozmowy, starał się poruszać normalnie. Wydawało mu się, że każdy jego ruch wygląda sztucznie.

Niemcy doczekali się swego, gdy pod osłoną zmierzchu pojedyńczo, lub parami zaczęli nadchodzić szperacze, śpiesząc się zdążyć na czas przed odjazdem pociągu. Niemcy kolejno odprowadzali ich w stronę autokaru. Gdy Graber nakazał składać narzędzia, znowu podszedł doń oficer kierujący plutonem wojska. Przed sformowanymi w dwuszeregu robotnikami wypowiedział kilka zdań, raz po raz spoglądając na niknące zarysy ruin. Znać było w wygłaszaniu i w formułowaniu zdań



wprawę. Przemówienie zostało wygłoszone śpiesznie, jakby nie po to, aby je ludzie zrozumieli. Potem żołnierze przywiedli schwytanych robotników, których przedtem skrępowali i ustawili ich pod odległą o sto metrów ścianką zarysowaną blaknącymi reklamami. Graber jął tłumaczyć słowa oficera:

— Ponieważ zdarzył się wypadek napadu na Niemca, ze wszystkich grup zatrudnionych w obiektach miejskich wyłapano tych, którzy opuścili pracę, gdyż spośród nich musiał się rekrutować napastnik. — Przy tym ogólnie wiadomo, że wydalanie się z obrębu pracy grozi śmiercią, za co ja nie biorę odpowiedzialności, a o czym się odpowiednio ostrzegało! — zakończył Graber spoglądając na zegarek, wyjęty ze skórzanej torby. Dalszych słów oficera nie przetłumaczył. Owinął się w płaszcz z plamistego materiału pantery. Nakazał śpiesznie ładować narzędzia.

Zgrzyty lokomotywy nie zagłuszyły strzałów z automatycznej broni. Marian w ciemności wagonu spostrzegł jak Henryk wsuwał swą dłoń pod worki węgla, aby sprawdzić istnienie ukrytego tam tobołka z odzieżą. Otarł chustką zwilgotniałe czoło i wyminął krąg robotników pijących spirytus zmieszany z kawą.

II.

Dopiero później zwrócił uwagę na zachowanie się robotnika wysokiego wzrostu, który przez cały czas podróży trzymał się na uboczu. Przyglądał mu się przez moment, zwolna tracąc potrzebę myślenia o stratach, na jakie naraziło go nieoczekiwane zajście. Zdawał sobie sprawę, że absolutnie nic nie uległoby zmianie, gdyby nawet doniósł rzeczy przygotowane do wzięcia, a wprost przeciwnie, być może jego powrót na teren dworcowy miałby wówczas pozory wszelkiej normalności i odwracałby przypuszczalne podejrzenia Grabera. Tymczasem — zastanawiał się bez końca — on sam zachował się zbyt porywczo, nie potrafił zapanować nad nerwami poczynając od chwili przybycia na teren stacyjny. Lecz to, że był tylko świadkiem, a nie sprawcą pobicia Niemca, dodało mu spokoju i czystości sumienia. Zawsze obawiał się działania sankcji wewnętrznych jakimi było obwarowane sumienie, a szczególnie teraz, gdy często myślał o zbliżaniu się jakichś ostatecznych rzeczy, kiedy będzie się chciało czymś pochwalić, coś zachować z przeszłości, przybyć z jakimś bagażem moralnych wartości. Kontrolował pod tym kątem widzenia swe uczynki chcąc zabezpieczyć sobie równowagę myśli. Był więc ostrożny nie tylko w tym, co zamierzał uczynić, lecz także w unikaniu tego, na co nie życzył sobie spoglądać.

Już ciemność powoli zszywała obszar widzenia. Usadowił się w pobliżu lekko uchylonych drzwi, przez które spoglądał na fragmenty mijanych domów, na ziemię niesłychanie nieuporządkowaną, okrytą brudnym wydeptanym śniegiem. Wszędzie plątały się asymetryczne budyneczki, płoty, szopy osiedli fabrycznych, kominy wytwórni lub fabryczek, niektóre już niemal historyczne o graniastosłupych kształtach. Za linią zasieków, przy torach, do połowy wkopane w grunty pozycje działek przeciwlotniczych skryła płaszczyzna nieskazitelnego śniegu. Lufy wystawały nad poziom ziemi tuż obok blaszanych rur, przez które ciurczał czarny dym. W pobliżu ziemianek krążyli lotnicy w mundurach „himmelblau", ubrani w skórzane czapki, w baranicach. W ciepłych wojłokowych butach wychodzili na spotkanie dziewcząt lub kobiet z okolicznych domów, które donosiły im strawę. Chętnie wdawały się w rozmowy z tymi ludźmi, których całkiem niesłusznie tylko ze względu na kolor munduru mniej się obawiano od innych żołnierzy.

Z kąta wagonu, gdzie spoczywał na stosie ładunku, widział ustępujące sześciany pól poorane zygzakami okopów. Później już tylko odruchowo spoglądał na nieciekawy, podmiejski pejzaż, jednocześnie rozmyślał o czekającej go niechybnie przy pierwszym spotkaniu indagacji Grabera. Jasne było dlaczego Graber milczał, gdy wojskowi zapytywali go o ucieczki i wyjścia poza obszar dworca. Albowiem milcząc, chronił się przed ewentualnym obciążeniem go odpowiedzialnością. Marian wyrzucał sobie swe postępowanie dalekie od naturalności. Wbrew początkowym mniemaniom o korzyści wynikłej z powrotu bez szabru, teraz uświadomił sobie w pełni błąd, jaki popełnił, wracając z miasta bez jakiejkolwiek zdobyczy, kto tylko bowiem uzyskiwał dotychczas pozwolenie Grabera na opuszczenie pracy, wracał z miasta obładowany, ile tylko zdołał unieść. I teraz właśnie, gdy minęła fala niebezpieczeństwa jął przypuszczać, że nowa musi nadejść.

To przypuszczenie miało swe rozumowe podstawy, lecz wzbudzało w Marianie lęk tylko na skutek rozluźnienia nerwów; czuł się tak, jak człowiek omal w ostatniej sekundzie uskakujący przed pędzącym samochodem, gdy już po uniknięciu katastrofy zaczyna myśleć czego uniknął i zdawać sobie w pełni sprawę z niebezpieczeństw, które na każdym kroku czyhają na chwilę nieuwagi. Zaczął się zastanawiać, czy nie lepiej będzie opuścić pracę w następnym dniu.

Znowu uczuł na sobie baczne spojrzenie robotnika z Brwinowa, spoczywającego na workach węgla po przeciwległej stronie drzwi. To bezustanne wzajemne przyglądanie się sobie sprawiło, iż Marian pomyślał, że ów robotnik zaczyna go badawczo obserwować, jak gdyby podejrzewać. Obaj nie brali udziału w rozrywkach wagonu. Pociąg kursujący poza wszelkimi rozkładami jazdy uwiązł przed jakąś stacyjką. Na środku wagonu przy koksowym piecyku buchającym pod działaniem przeciągów kłębami dymu, zgromadziła się większość załogi robotniczej. Odbili beczułkę ryb wyniesioną ze spalonej do piwnic hurtowni rybnej Janinngsena; ryby niestety były zepsute. Lecz obecny ich właściciel wystawił je do wzięcia twierdząc, że w Polsce nie ma takich rzeczy, których by jeszcze ktoś nie odważył się zjeść. Po długich naradach wzięto się do zjadania mleczy, które są ostatnią cząstką rybiego mięsa podlegającą zepsuciu. Cuchnące, rozpaproszone kadłuby napełniły podczadzony wagon kwaskowo-słodką wonią. Niektórzy robotnicy weseli i podpici obrzucali się szczątkami zepsutych ryb. Nie wiadomo kto pierwszy wszczął tę zabawę, dość, że i Henryk brał w niej pełny udział.

Po dłuższym postoju pociąg ruszył i powoli zaprzestano by się obrzucać zgniłymi resztkami, gdyby uporczywość w kontynuowaniu przez pijanych i zaplamionych, temu nie przeszkodziła. W wagonie stało się całkiem ciemno. Wówczas jął sobie przypominać twarze robotników ustawionych pod murem. Prawie wszystkich znał z widzenia, albo z jakichś epizodów zdarzających się przy rozbiórce dworca. Monotonny rytm pociągu wywoływał senność, wtedy widział cały dzień, już jakby nawpół rzeczywisty, jak to bywa zanim się uśnie, jeszcze nie śniąc, lecz już oglądając odrealniony obraz zdarzeń.

W świetle pulsującego pieca o blasze rozpalonej na kolor cegły, widział ciągłe ruchy i gestykulacje osób, zabawiających się rozrzucaniem ryb. Głosy w zgrzytliwej jeździe nieresorowanych wagonów rozrzedzały się, dochodziły doń jedynie strzępki zdań. Naprzeciw spoczywał na ładunku węgla człowiek, wzbudzający jego zainteresowanie. Czasem oblicze rozświetlał mu błysk pociąganego papierosa.

Wówczas — gdy w pamięci zestawiał twarze rozstrzelanych przez Niemców robotników, z epizodami, w trakcie których je zapamiętał, obecnie już z przywiązaną do nich jedynie wielką próżnią uczuciową — zestawiał twarz tego milczącego w ciemni wagonu człowieka — z jamniczą, podłużną, o wyblakłych oczach i ciężkich powiekach twarzą jednego z tych już nieżyjących ludzi. Przypomniał sobie, że zawsze je widywał razem, że ci dwaj ludzie byli ze sobą po imieniu. To nie był odosobniony wypadek w ich grupie roboczej, gdzie lepiej i korzystniej było zawiązywać spółki czy to do ładowania węgla, czy do innych okazji. Przypomniał sobie, iż zawsze wysiadali na jednej stacji, omal byli nierozłączni.

Oczywiście — pewnie zastanawia się nad tym, jak blisko otarł się o śmierć, na pewno stara się prześledzić przyczyny, które sprawiły, że on sam nie wybrał się też do miasta. Na pewno zastanawia się nad wagą przypadku w życiu ludzkim. Być może — zastanawia się jak należy zawiadomić rodzinę o śmierci kolegi, czy przyjaciela. Tym Marian tłumaczył milczenie i martwotę obserwowanego robotnika.

Na kolejno po sobie następujących stacjach wysiadali właściciele licznych worków węgla. Wówczas podnosił się krzyk, gdyż znacznie opóźniony pociąg przystawał ledwie na moment. Ginęły worki, na dudniących peronach zgrzytały koła żelaznych taczek, lub piszczały nienaoliwione osie dwukołowych wózków. To wspólnicy zjeżdżali na czas powrotu z pracy — żony, matki, siostry — po to, aby ułatwić robotnikom zwiezienie bagaży lub natychmiastową ich sprzedaż.

Jadący do końcowych stacji pilnowali swych worków w obawie, aby im kto ich nie ściągnął w ferworze wysiadania. Marian zaczął przygotowywać się do sprawnego opuszczenia wagonu, ponieważ pociąg zbliżał się do Brwinowa. Wiedział że dzisiaj, mimo że nie naładował węgla, będzie miał obfity połów, wielu bowiem robotników zapobiegliwych, rano i w ciągu dnia, wieczorem lekkomyślnie pozbawiało się owoców całodziennych wysiłków i trudów.

Z toku myśli wyrwał Mariana głos Nowaka, który podczas postoju na jednej ze stacyjek gęsto rozsianych przy tej linii kolejowej, przesiadł się z budki hamulcowej do wagonu. Jeździł zwykle osobno, gdyż często padał pastwą drwin kolegów, nie potrafiąc się bronić przed wyzwiskami ani pięścią, ani dorównującym im w ostrości językiem. Dokuczał Marianowi ton głosu Nowaka.

— Bydło! Wiecie kolego, macie ten oto dzień tak okrutny niesłychanie tak krwawy, i patrzcie, co oni wyczyniają! — wskazał szerokim ruchem dłoni miejsce, w które Marian wpatrywał się od dawna. Obok rozwalonej beczki z mazią cuchnących ryb szamotało się dwóch robotników, starając się nawzajem ubrabrać, ile tylko wlezie.

— Żyją jak bydlęta — ciągnął dalej Nowak — i umierają jak bydlęta!

— A pan — odparł Marian — jakbyś umarł?

Nie widział twarzy Nowaka, gdyż obaj znajdowali się poza zasięgiem światła. Tylko wtedy oświetlało ich postacie, gdy mijali perony stacyjne.

Trzeba było powoli gromadzić upatrzone przedmioty, gdyż zbliżał się kres podróży. Marian rozgrzeszył się prędko, wiedział bowiem, że bezpański węgiel, jeśliby go nie zdołał wynieść z wagonu, przypadłby w udziale strażnikom kolejowym. Podniósł się ze swego miejsca robotnik, dotychczas półleżący na stercie bagażu. Marian próbował zawołać Henryka, lecz gdy spostrzegł, że jest on pijany, natychmiast zorientował się, że lepiej będzie samotnie zakończyć interesy dnia. Zwykle, gdy jeden z nich pilnował na peronie wyładunku, drugi biegł po taczkę, dla wygody zostawianą na przejeździe. Zabierali od razu wszystek węgiel i zmieniając się przy taczce zwozili, gdzie go kto sobie u nich zawczasu zamówił. Tym razem mieli zwieźć węgiel do restauracji Daniłowicza, ludnej o tej porze i oświetlonej mimo przestrzegania w całym miasteczku przepisów zaciemniania.

Uczuł przypływ goryczy. Postanowił już nigdy nie wiązać się z Henrykiem żadną umową. Jeśli łączył ich dotąd węzeł wspólnoty, to stanowiło go bliskie zamieszkanie, powroty i wyjazdy jednocześnie przedsiębrane. Szczególnie wówczas, gdy wracali po godzinie policyjnej, czuli się we dwóch znacznie raźniej. Znając charakter Henryka, Marian mógłby spodziewać się, iż otrzyma odeń coś niecoś z rzeczy naładowanych w piwnicy. Lecz niesmak ogarnął go w chwili, gdy sobie o jakimkolwiek udziale pomyślał. Niechaj robi sobie z tym co posiada i ze sobą co mu się tylko żywnie podoba! Byleby mieć co zjeść i jak się ochronić, przecież zbliża się koniec wojny!

W Brwinowie przed wyjściem z wagonu spostrzegł, że może bez czyjejkolwiek krzywdy wysiąść z co najmniej trzema workami węgla, których właściciele wysiedli na poprzednich stacjach.

Po wyładowaniu zastanawiał się, co ma począć i już omal gotów był zwrócić się do Henryka, który podobnie jak i on musiał się gdzieś zdezorientowany w ciemności błąkać, natychmiast bowiem po odjeździe roboczego pociągu pogasły latarnie, umieszczone na cementowym stropie peronu. Wtedy podszedł do niego robotnik, którego obserwował w czasie podróży. Rozpoznał go po wysokim wzroście. Zgodzili się wspólnie sobie radzić z opałem i sprzedać go na pniu, jak się to wówczas mawiało. Postanowili w tym celu pojechać pod adres doskonale prosperującej ciastkarni, założonej przez obrotnych warszawiaków. Ponieważ było tam jednak za daleko jak na późną porę przyjazdu, więc ustalili zwieźć węgiel do restauracji Daniłowicza.

Podczas gdy towarzysz Mariana pobiegł po wózek, polecając Marianowi strzeżenie bagażu, ten w czasie kilkuminutowej nieobecności swego towarzysza przypomniał sobie jego przypadkiem zapamiętane nazwisko. Robotnik nazywał się Grzelak. Później, gdy mozoląc się ciągnęli kolebiący się wózek po zmarzniętej powłoce śniegu, zmuszeni często przystawać aby poprawić ułożenie zesuwających się worków, Marian zastanawiał się, jak też Henryk daje sobie bez niego radę z towarem. Zamierzał nawet, skoro tylko załatwi sprzedaż węgla, pośpieszyć ku stacji aby odnaleźć Henryka, jakby czuł się winnym opuszczając kolegę w doraźnej potrzebie.

Miał już zwierzyć się z tajemnicy piekącej jego język, lecz w ostatnim momencie uprzytomnił sobie niedorzeczność swego pomysłu. Pojął, że tym samym zostałby wyrzucony poza nawias grupy roboczej, chociaż wiedział, że wielu ludzi w podobnej sytuacji zachowało by się jak oni, to znaczy jak Henryk w chwili incydentu z Niemcem. Wolał całą rzecz przemilczeć, bowiem uświadomił sobie, że zwierzając się Grzelakowi, dopuściłby w nim powstanie myśli, że zabójcą Niemca jest on sam. Grzelak mógłby (gdyby mu uwierzył) żywić pretensje, dlaczego nie udaremnił zamachu na Niemca. Powrócił więc w swoich rozmyślaniach do punktu wyjściowego, do stwierdzenia, że mimo wszystko podejrzenia kierują się w jego stronę i że lepiej będzie całą sprawę zbywać milczeniem. Powstało więc pytanie, komu w ogóle mógłby się zwierzyć? Nierobotnicy nie uwierzą w prawdziwość jego opowiadania, a robotnicy, pamiętający jego zachowanie się w końcowych godzinach dziennej pracy, jemu chyba będą skłonni przypisać spowodowanie śmierci kilkunastu kolegów.

— Daj się nawet skopać na śmierć! Nie drgnij nawet! — Wiedział jak surowo opinia ludzka rozprawiała się ze sprawcami zamachów na Niemców lękając się natychmiastowych represji ze strony policji. Nawet w 44 roku nic się pod tym względem nie zmieniło. Faktem pozostaje niezawiniona śmierć kilkunastu ludzi. Śmierć, którą należało przewidzieć.

Już z daleka usłyszeli tony tanga. Do restauracji wszedł tylnymi drzwiami, aby zapowiedzieć przywóz opału i zapytać się gdzie go mają złożyć. Lokal był duży, składał się z kilku sal i kilku osobnych gabinetów. W centralnej sali wszystkie stoliki były okrążone gośćmi. Jak zdążył się zorientować — i na wojnie istnieje chwila odsapnięcia, rodzaj angielskiej soboty, a więc broń była złożona po przeprowadzonej w ciągu dnia łapance. Żandarmi zeszli się na posiłek, przy tym popijali sobie niezgorzej, a ponieważ w miejscowym kinie przetrzymywali złapanych, co było tajemnicą publiczną, nawiązanie z nimi kontaktu stało się celem, jaki za wszelką cenę należało osiągnąć. Czyli innymi słowy postawić im coś, starać się wkupić w ich życzliwość. Kto tylko posiadał pieniądze stawiał niejednemu z nich, starając się uprawdopodobnić powrót kogoś bliskiego. Ludzie, którzy spóźnili się nieco, a chcieli docisnąć się do żandarmów, napotykali jedynie na ich opór. Obserwując ich nieprzytomne spojrzenia i poruszenia, odchodzili sami, przesądzając słusznie, że ani jedno słowo nie utrwali się w ich pamięci. Nad wszystkim panował gwar, muzyka potęgowała wrzawę, niemczyzna nawet pośledniej jakości cieszyła się wielkim uznaniem.

— Trzeba było stawiać butelki Rheingoldu, a nie czystą wyborową! — pomyślał Marian, obserwując pijanych Niemców.

Trochę wałęsało się po sali rozmaitych ludzi, którzy nie mieli za co wykupić swoich bliskich, więc kontentowali właściciela lokalu bylejakim kuflem piwa i chcieli już nie pomóc, lecz chociaż nie zaniedbać żadnej możliwości pomocy. I tak wałęsali się w oparach dymu, jakby spodziewali się znaleźć kogo znajomego wśród żandarmów. Myśl taka była oczywiście absurdalna, gdyż większość ludzi nie znała nawet pojedyńczego volksdeutscha. Widać było również kobiety, które nigdyby nie przyszły do tego lokalu i nigdy zapewne od lat nie bywały w podobnych lokalach. Było widać trochę kobiet w średnim wieku, poubieranych w co tylko mogły wyciągnąć z szafy szykownego, tak jak się ubiera na ważne, kluczowe uroczystości.

Marian zauważył kręcących się po sali pośredników. Oprócz kilkunastu prostytutek, których znaczenie niepomiernie wzrosło, jako że rozmawiały po niemiecku, młodzieży na sali nie było, chociaż Marian od razu spostrzegł, że Niemcy, dobrze roztasowani w lokalu złożyli broń i w tej chwili nie myślą o łapaniu i legitymowaniu ludzi.

Mimo dość wczesnej pory, kilka par obracało się po parkiecie, zabrudzonym śladami wniesionego do restauracji śniegu. Pianista i harmonista grali przeważnie niemieckie szlagiery, rzadko prezentując jakieś dawne tango Petersburskiego lub



Golda. Uparcie powtarzali motyw tanga: „So schoen wie heut, so muss es bleiben, so muss es bleiben". Właścicielowi restauracji zdawało się, że spełnia czyn patriotyczny, tak sprawnie goszcząc Niemców, wytwarzając intymną atmosferę dogodną do prowadzenia rozmów i pertraktacji o wypuszczenie poszczególnych złapanych. Była to zresztą jedyna okazja, która, gdyby się jeszcze parokrotnie ponowiła, to mógłby on się stać swoistym bohaterem narodowym w rzędzie kilku nieletnich kurewek, paplających od biedy zepsutą, handlowo-miłosną niemczyzną. Marian zdążył zaobserwować, jak żandarmi opuszczali duszną, mimo podchylanych okien salę i wychodzili przewietrzyć się na nieoszkloną werandę, która jako część restauracji w ciągu zimy była nieczynna.

Gdy tak stał przed kontuarem czekając, aby ktoś z kuchni zainteresował się nim i poszedł asystować przy wyważaniu węgla, spostrzegł Henryka wchodzącego do środka sali. Był obsypany miałem węglowym, zalatywał od niego zapach śledziowy. Stanął tuż za Marianem i zapytał go półszeptem, jak to się stało, że zniknął mu sprzed oczu. Zanim zdążył odpowiedzieć, wyszła z kuchni młoda, może piętnastoletnia dziewczyna, brzęcząca pękiem kluczy. Przed opuszczeniem sali zapytała tęgą w marszczonej sukni kobietę, siedzącą na fotelu przy oblężonej kasie, ile może zakupić opału. Miejsce i zapotrzebowanie znalazło się na wszystek opał, jaki tylko uradzili zwieźć.

Później pościągali po zaokrąglonych schodach ciężkie wory węgla. W trakcie wyważania spostrzegli, że dziewczyna notuje wyższe cyfry, niżli wyznaczała waga.

— To nic — odrzekła — śmiejąc się — mogą zapłacić. Co będzie więcej, to dla mnie się szykuje!

Była lekko ubrana. — Panienka zaziębi się — powiedział Henryk. Dziewczyna była odziana w niebieskawy zatłuszczony fartuch i biały nakrochmalony czepek. Marian zauważył, że do nich zwracała się przez „wy". Po pieniądze wspięli się po schodach za dziewczyną, trzymającą świecę w podniesionej dłoni. Usiedli w najbliższym wolnym pomieszczeniu, które musiało być jeszcze przed kilku minutami zajęte. Stolik okrywała zaplamiona serweta, walały się talerze z niedojedzonymi potrawami, jeszcze stały kieliszki niezupełnie wypróżnione — zapewne musiało tam być przed nimi mieszane towarzystwo.

Po chwili dziewczyna przyniosła kanapki z mięsem i odkorkowaną butelką wódki. Marian wzdrygnął się przed wypiciem pierwszego łyku. Usypiał go brzęk talerzy i drażniący, bo ledwie słyszalny rytm muzyki oraz gwar głosów dochodzących z głównej sali. Spod oka spojrzał na Grzelaka, niezgrabnie manipulującego widelcem. Pomyślał, iż jest on odludkiem i że teraz przez niego nie potrafią nawiązać jakiejkolwiek rozmowy. Życzliwie natomiast myślał o dziewczynie, która jak mu się zdawało, na własną odpowiedzialność przyniosła im wódkę z zakąską. Następnie pomyślał, iż wprawia go w zadowolenie przewaga jej, to stawienie się wobec nich w sytuacji nadrzędnej. Właściwie, gdyby wiedziała kim jest, a raczej kim był, pewnie czułaby się onieśmielona. Ba! Cóż to jest wykształcenie. Teraz dopiero może obserwować ludzi. To wielostronne obserwowanie, a także przeżywanie jest coś warte. Ma upajający smak. Często zacierał swoją przeszłość, czego jak spostrzegł, nigdy nie czynił Henryk, podkreślający zawsze swoje cechowe rzemieślnicze pochodzenie.

Zajęci jedzeniem przestali rozmawiać. Grzelak i Henryk byli przygnębieni. Sam był zadowolony po szczęśliwym przebyciu dnia najeżonego niebezpieczeństwami. Myślał o obecnych trudnościach jakich przysparzało zdobywanie pieniędzy, bo wie-



dział ile trzeba się nagłowić, aby cokolwiek zarobić. Szczególnie było mu ciężko zaraz po opuszczeniu Warszawy, gdy musiał się utrzymywać nie korzystajac w niczym ze swojej wiedzy, zupełnie w nowych warunkach nieprzydatnej. Wytwarzały się w nim rysy jakiejś z postaci wczesnej lektury Londona. To rzeczywiście — przyjemnie być po wszystkim. Lecz gdyby nie spojrzał na towarzyszy, zajętych dopijaniem wódki i zerkających w stronę oleodruków gęsto obwieszających olejne ściany, gdyby nie spostrzegł ich nieobecności i ich posępnych twarzy, mógłby się bez oporów oddawać swym oderwanym rozmyślaniom, na które wpłynęło działanie mocnego samogonu.

Wychodząc zostawili część pieniędzy dziewczynie, która do rachunku doliczyła podaną wódkę i jedzenie. Tylko Grzelak zaraz po wyjściu z restauracji cofnął się napowrót w jej oświetlone wejście. Zresztą i tak nie szedłby z nimi, gdyż mieszkał po przeciwnej stronie miasteczka.

Szli samotnie ścieżką wiodącą nad torami. Było już po godzinie policyjnej i na trasie ich marszu panowała cisza. Jedynie chrzęścił śnieg naciskany stopą. Niebo wygwieździło się, lecz nadal było ciemno, gdyż księżyc był w nowiu. Nieruchome powietrze nie przenikało ich lekkich ubrań. Marian po przywyknięciu wzroku do ciemności dostrzegł kontur tobołka przewieszonego przez plecy Henryka. Spostrzegł, że Henryk wytrzeźwiał, chód jego nie zdradzał nadużycia alkoholu.

— Wolałby pewnie zostać — i przepić resztę pieniędzy z Grzelakiem. Miałby wobec siebie uzasadnienie dlaczego pije. Mógłby wówczas oczyścić się z podejrzeń.

Na zakręcie przy przejeździe rozchodziły się ich drogi. Henryk zboczył ku wysokiej willi w stylu żydowskich bud letniskowych, Marian oddalił się ku polom do napół wykończonego budyneczku, gdzie od niedawna zamieszkiwał, sypiając na przewiewnym poddaszu. Dopiero gdy oddalili się o dobrych parę metrów odezwał się Henryk:

— Brat Grzelaka był wśród tych rozstrzelanych! — Skręcił ku oparkanionej posesji. — Marian nic nie odrzekł. — Jestem niewrażliwy — pomyślał — niewrażliwy jak kora drzewna. Jednocześnie zrozumiał, że ta myśl nie była ostatnia w tym „emocjonującym dniu". Czy to, że byłem świadkiem sceny zabójstwa ma mnie wyprowadzić z równowagi? Czy powinienem odznaczać się zdolnością współczuwania? — Moja m y ś l ostatnia, to zastanowienie się i rozważenie, czy mogę jutro pojechać do robót w Warszawie?

Szedł samotnie po zlodowaciałym śniegu. Wychodząc na szerokie pola ujrzał sekundowe błyski po eksplozjach artyleryjskich pocisków, których łoskot nie przenikał odległości.

Jerzy Miller

MARCEL PRENANT

Przełożył Adolf Sowiński

Międzynarodowa współpraca kulturalna (II)

PRZED NAJAZDEM na kraj niezawisły rząd hitlerowski nie zapominał o zawarciu nasamprzód tego, co nazywał traktatem kulturalnym, traktatem, który miewał zresztą solidne podstawy ekonomiczne. Osłabiano w ten sposób — o ile się tylko dało — siły moralne drugiego narodu. Potem, gdy opanowano już kraj militarnie, niszczono bezpośrednio lub też za pośrednictwem osób podstawionych wszelkie swobody kulturalne. Intelektualistów, którzy nie chcieli uznać tego rodzaju abdykacji swojej ojczyzny, składano z urzędów, wtrącano do więzień, zsyłano i masakrowano.

Jeżeli z kolei zwrócimy oczy ku koloniom, to spostrzeżemy, że wyjąwszy konieczności powstałe na tle ostatniej wojny, żadne z panujących nad nimi mocarstw nie wyposażyło ich w przemysł albo w szkolnictwo godne tego imienia. Chciano za wszelką cenę uniknąć konkurencji gospodarczej, zapobiec postępowi technicznemu i naukowemu, pognębić kulturę, a w szczególności kulturę narodową i ludową.

Jeżeli chcemy uprzytomnić sobie niebezpieczeństwo, które zagraża niejednemu z nas, możemy bez przesady powołać się na obecne położenie ludów kolonialnych. Czyż nie jest prawdą, że wtedy, gdy zniknie wolność ekonomiczna i kulturalna, mogą istnieć tylko pozory niezawisłości politycznej? Czyż podczas ostatniej wojny nie widzieliśmy rządów marionetkowych, podporządkowanych hitleryzmowi? Czyż nie mamy w tej chwili takich rządów, popieranych przez obce mocarstwo — jednego w Grecji, a drugiego w Chinach? Któż wierzy, że Salazar i Franco utrzymaliby się dłużej, gdyby ich również nie popierano? I czyż nie widzimy wszyscy rosnącego wpływu tego samego mocarstwa, które ich popiera, na kierunek polityki włoskiej i francuskiej?

Tedy z uczuciem braterstwa pozdrawiamy naszych przyjaciół z Ameryki Łacińskiej, z tego kraju, którego narody same siebie określają mianem ludów półkolonialnych. Spodziewamy się, że usłyszymy od nich w toku tych debat, jakiemu systemowi kulturalnemu są podporządkowani na skutek poddania się ich rządów obcemu mocarstwu.

Wypadałoby również, aby ci spośród nas, którzy przybywają z krajów europejskich, oddanych na pastwę penetracji amerykańskiej, uczynili na tym miejscu bilans tego, co umowy podpisane przez ich rządy już przyniosły zarówno z punktu widzenia kulturalnego jak i ekonomicznego, bo zresztą obydwie te sprawy są ze sobą połączone.

We Francji na przykład musimy zanotować upadek produkcji filmowej i przemysłu uzupełniającego, ogłupienie publiczności, której te umowy narzucają w wielkiej przewadze film amerykański o niskiej częstokroć jakości, rosnące trudności, na jakie napotyka akcja wydawnicza i prasa francuska w walce z publikacjami amerykańskimi w języku francuskim, niebezpieczeństwa, które z każdym dniem jawniej zagrażają niektórym gałęziom naszego przemysłu, a zwłaszcza naszym robotnikom i inżynierom, wreszcie coraz większy spadek sum, przyznawanych na szkolnictwo powszechne. Ograniczę się do podkreślenia na tym miejscu kilku faktów typowych.

Łączny budżet szkolnictwa powszechnego we Francji nie dosięga 6 proc. budżetu ogólnego, podczas gdy w Anglii dochodzi do 16 proc., w Stanach Zjednoczonych do 23,5 proc., a w Rosji Sowieckiej do 25 proc. W ten sposób stajemy w rzędzie narodów na 29-tym miejscu po Hiszpanii frankistowskiej i Turcji.

Jeżeli chodzi o szkolnictwo wyższe, stosunek ten jest jeszcze mniej korzystny, a procent, który Francja dla niego zachowuje w swym budżecie ogólnym, stawia ją na ostatnim miejscu na równi z Hedjazem. W swych siedemnastu uniwersytetach Francja posiada 2.000 profesorów, podczas gdy Belgia, która stoi na 22 miejscu pośród narodów pod względem kosztów szkolnictwa powszechnego, liczy ich 1.800 przy ludności pięć razy mniejszej. Z braku pieniędzy zmusiano na niektórych wydziałach zredukować dziesięciokrotnie liczbę praktycznych ćwiczeń seminaryjnych. W innych wypadkach zagraża odcięcie gazu i elektryczności, bo nie ma czym zapłacić rachunków. Personel naukowy deklasuje się coraz boleśniej. Pensje naukowców początkujących są nędzarskie, a w związku z postanowieniami rządu, powziętymi w tej sprawie, po raz pierwszy pensje profesorów wyższych zakładów naukowych nie dosięgaja poziomu normalnych wynagrodzeń za funkcje publiczne.

Nie składamy odpowiedzialności za to wszystko na umowy ze Stanami Zjednoczonymi. Rozprawianie o nędzy uczonych datuje się z czasów, gdy sprawująca rządy burżuazja francuska zwątpiła o nauce, a ten stan rzeczy zaostrzył się nader pod okupacją hitlerowska i zdradzieckim rządem własnym, ale sądzimy, że przy współudziale narodu francuskiego, który nigdy nie targował się, gdy szło o łożenie na kulturę, uporządkowanie sytuacji nazajutrz po wyzwoleniu było rzeczą możliwą. Udowodniono by w ten sposób, że kultura i badania naukowe są opłacalne, skoro prowadzą do lepszego wykorzystania zasobów narodowych. Tymczasem nasi władcy, nie ufając własnemu narodowi, woleli szukać pomocy u mocarstwa obcego na warunkach podległości, a środki na badania naukowe i kulturę coraz bardziej redukowano z jednej strony dlatego, że ich rozwój stał na przeszkodzie ekspansji amerykańskiej, a z drugiej strony dlatego, że uzyskane u obcych kredyty przeznaczono na potrzeby armii, która coraz bardziej traci charakter narodowy, będąc wyekwipowana przez przemysł amerykański; gdy zaś zapadnie płatność, ma być podporządkowana dowództwu amerykańskiemu.

Byłoby — powtarzam — rzeczą ciekawą, gdyby ci i owi spośród nas, obywatele innych jeszcze krajów, które uważa się za „korzystające z dobrodziejstw" planu Marshalla, podali nam rezultaty swych doświadczeń. Ale byłoby rzeczą jeszcze ciekawszą, gdyby delegaci krajów, które nie przyjęły warunków związanych z pomocą amerykańską, opowiedzieli nam, jak kształtują się u nich sprawy nauki, badań i kultury, co osiągnięto i jakie są perspektywy narodowe pod tym względem, a również jak u nich pojmuje się sprawę niezawisłości kulturalnej rozmaitych narodów, związanych nierozerwalnie z postępem cywilizacji ogólnej.

Dopiero po zebraniu tych najrozmaitszych przyczynków będziemy mogli wyciągnąć wnioski co do niebezpieczeństw, które w chwili obecnej zagrażają kulturze i co do perspektyw na przyszłość, które się przed kulturą otwierają. Chodzi między innymi o te perspektywy, które wiążą się z koniecznością stałej współpracy międzynarodowej.

* * *

Jeszcze kilka lat temu nikt nie mógłby zaprzeczyć konieczności ogłaszania i szerokiego udostępniania wyników badań naukowych. Od dwustu lat skończono z tajemniczymi praktykami alchemików i uczyniono wielki wysiłek, aby udostępnić wszystkim zdobycze naukowe, słusznie uznając to stanowisko za niezbędny warunek postępu. Wydawano coraz więcej książek i periodyków, coraz lepiej dostosowanych do bieżącego stanu badań, stwarzano akademie i towarzystwa naukowe, organizowano narodowe i międzynarodowe kongresy naukowe, jak również dyskusje, mające na celu oświetlenie ścisłych zagadnień, odwiedzano się wzajemnie oraz wymieniano profesorów i studentów pomiędzy uniwersytetami różnych krajów. Wydawało się rzeczą niemożliwą, aby ktoś mógł tego rodzaju postęp zakwestionować. Jedynymi odstępstwami od tej powszechności wiedzy były niektóre tajemnice produkcyjne, pewne odmiany zręczności stosowanej w przemyśle oraz niektóre tajemnice wojskowe, słowem drobiazgi wykonawcze. Nikomu natomiast nie przyszło na myśl zatajenie prawdziwego odkrycia czystej nauki, a jeszcze mniej nie pozwalanie na to, aby szerzyć o nim wiadomości. Nie koniec na tym, bo większość wynalazków stawała się nawet własnością publiczną, skoro tylko przez opatentowanie znalazły właściwą ochronę w życiu handlowym.

Od chwili odkrycia energii atomowej zachowywanie tajemnicy co do jej praktycznego zużytkowania, szczególnie w zakresie produkcji broni atomowej, stało się sprawą drastyczną. Wydano surowe ustawy o tajemnicy urzędowej, stworzono ostre rygory policyjne i cenzuralne, a takie same rygory rozciągnięto i na produkcję innych nie mniej straszliwych broni: hodowli bakterii, produkcji toksyn i niezwykle udoskonalonych gazów bojowych. Ponieważ zaś w nowoczesnej wojnie nie ma zdecydowanych granic pomiędzy tym, co wchodzi w zakres zbrojeń, a co w ich zakres już nie wchodzi, należy się obawiać, że paraliż postępowy obejmie całą naukę, skoro uczeni — jak to powiedziała nam p. Joliot - Curie — nie mogą już wiedzieć, kiedy spotkają się na kongresie naukowym, o czym będą mieli tam prawo mówić, a co będą musieli przemilczeć z obawy przed oskarżeniem o zdradę.

Pracujący wśród Amerykanów nad realizacją bomby atomowej angielski profesor Oliphant w przemówieniu, które wygłosił w roku 1945 w Birmingham i w którym obstawał przy konieczności odsłonięcia tajemnic odnoszących się do tejże bomby, powiedział, że uczeni angielscy nie mieli odwagi złożyć swego oświadczenia na temat bomby, ponieważ byli związani ustawą o tajemnicy urzędowej i ponieważ obawiali się uwięzienia w wypadku, gdyby zaczęli mówić.

„Być może — powiedział — że niezadługo ja sam znajdę się w więzieniu, myślę jednak, że te rzeczy powinny być tutaj powiedziane, tak samo, jak powinny być powiedziane po drugiej stronie Atlantyku.

To przymusowe milczenie uczonych, których dopuszcza się do głosu tylko wobec tajnej dyplomacji polityków, sprowadza dwa straszliwe następstwa.

Pierwsze z nich dotyczy postępu nauki i kultury, a jednej i drugiej nie można oddzielić od stanu ich rozpowszechnienia. Najwłaściwszą rzeczą będzie zacytowanie tu słów Fryderyka Joliot-Curie z jego odczytu w roku 1946-ym.

„Nasz zbiorowy wysiłek powinniśmy skierować ku nauce bardziej chyba niż ku jakiejkolwiek innej formie działalności ludzkiej. Aż do ostatnich lat wyniki badań czystej nauki stawały się dzięki swobodnemu i nader szybkiemu rozpowszechnianiu informacji naukowych wspólną własnością wszystkich uczonych na całym świecie. W ten sposób wytworzyła się pomiędzy nimi w tej dziedzinie świadoma solidarność i wzajemne świadczenie sobie pomocy.

Każda z nowych zdobyczy, uzyskanych w laboratorium, przywodzi nam na pamięć długą częstokroć listę dawnych i współczesnych uczonych, których wysiłkom zawdzięczamy nasze wyniki, często bowiem rozgłos łączy się z człowiekiem, który dał tylko ostateczny kształt wspólnemu dziełu całego szeregu badaczy. Na tym tle doznajemy uczucia radości, myśląc, że nasze prace będą służyły naszym kolegom z Londynu, z Moskwy, z Nowego Jorku i skądkolwiek chcecie. Z tego właśnie powodu uważam za coś wspaniałego przyjęty wśród uczonych zwyczaj stawiania w nagłówku swych rozpraw następujących słów: „Przyczynek do badań takiego a takiego uczonego". Bo zawsze chodzi tylko o jakiś przyczynek, nawet w wypadku wielkich odkryć, które uwydatniają jedynie brak ciągłości w nauce.

Tak więc zakusy co do ograniczania lub hamowania obiegu informacji naukowych stanowią największe z niebezpieczeństw dla postępu nauki i dla cywilizacji".

I jeszcze:

„Ludzie wyjątkowi naszych czasów nie wykazują na przykład wewnętrznej wyższości nad filozofami greckimi, ale jest rzeczą pewną, że posiadają nieskończenie większą łatwość szerzenia swych myśli, bo jednym z największych postępów cywilizacji był wzrost ilości ludzi zdolnych do przyswajania sobie wiedzy i wzbogacania umysłowej spuścizny ludzkości.

Rozpowszechnianie się kultury jest tedy jednym z najistotniejszych czynników postępu, jeżeli więc w przeszłości doszło do zniknięcia pewnych cywilizacji, stało się to dlatego, że kultura była udziałem jednej tylko zamkniętej, a tym samym słabej warstwy ludności".

Drugim punktem istotnym jest fakt, że tajemnica prowadzi do wyścigu zbrojeń i do wojny. Doświadczenia sprzed ostatniej wojny wykazały, że tajemnica wojskowa nie da się zachować zbyt długo, bo gdy się już raz użyje tajemniczej broni, broń ta szybko staje się dostępna poznaniu, jest naśladowana, a częstokroć ulepszana przez przeciwnika. Taki był los gazów bojowych z lat 1914—1918.

Nie inaczej jest z bronią atomową. Najlepsi specjaliści amerykańscy obliczyli w roku 1945, że Stany Zjednoczone będą przodować w tej dziedzinie przez pięć lat, tymczasem wbrew temu najodpowiedzialniejsi mężowie stanu Związku Radzieckiego już od dawna podali nam do wiadomości, że podstawy odnośnej tajemnicy nie istnieją, a więc wszystko stało się szybciej niż to przewidywali specjaliści.

W każdym kraju odsuniętym przez tajemnicę od innych krajów, nieświadomość tego, co czynią inni, staje się źródłem ol-

brzymiego wysiłku, zmierzającego ku temu, aby prześcignąć innych na drogach wojny. W różnych tedy krajach poszukuje się zupełnie nowych i coraz to podstępniejszych środków niszczycielskich, które Fryderyk Joliot-Curie opisał nam w sposób przejmujący, udowadniając, że wojna bakteriologiczna mogłaby istnieć już od lat i dziesiątkować ludność masowymi zgonami, zanim by się nawet spostrzeżono, skąd padają ciosy.

Tajemnica obraca się nawet przeciwko temu krajowi, który pierwszy zaczął dążyć do jej maksymalnej ścisłości. Pierwszeństwo, które jest udziałem Stanów Zjednoczonych w zakresie badań nad atomem, bynajmniej nie powstrzymuje, ale wręcz przeciwnie — popycha innych na tę samą drogę.

Załóżmy wypadek przeciwny.

Oto umowa międzynarodowa, zmuszająca do publikowania wszelkich osiągniętych wyników naukowych i technicznych oraz połączona ze zorganizowaną kontrolą, wiązałaby się napewno ze zużytkowaniem energii atomowej do celów pokojowych i dałaby w rezultacie ogólną umowę rozbrojeniową. Ludzkość stoi tu na decydującym rozdrożu, a nasza odpowiedzialność jako intelektualistów jest wielka.

Uczonym amerykańskim, którzy pracowali nad stworzeniem broni atomowej i 16 lipca 1945 roku byli obecni przy doświadczeniach w Nowym Meksyku, należy poczytać za zaszczyt, że natychmiast odczuli tę odpowiedzialność zanim nowa broń została rzeczywiście użyta przeciw Hiroszymie.

Na tle pełnego uświadomienia sobie tych rzeczy powstała nieco później deklaracja członków „Federation of American Scientists". Zacytuję z niej ustępy najistotniejsze:

„Zagadnienie doprowadziło nas do jednego z największych kryzysów w historii.

Zagadnienie przeniosło się na arenę polityki i tu pozostało.

Nauka nie może stworzyć linii obronnych przeciw nowemu niebezpieczeństwu.

Zagadnienie jest zagadnieniem o skali światowej. Nie można go rozwiązać na terenie poszczególnych narodów.

Narody mogą osiągnąć daleko większe zdobycze niż energia atomowa, ale nie będą mogły niczego osiągnąć w świecie, do którego może doprowadzić wojna.

Na naszym kraju, na Stanach Zjednoczonych, ciąży odpowiedzialność specjalnego rodzaju. Myśmy pierwsi użyli bomby atomowej i my jedynie ją produkujemy. Żaden program w tym zakresie nie jest słuszny, jeżeli nie bierze pod uwagę specjalnych obowiązków ze strony Stanów Zjednoczonych i jeżeli nie opiera się na tej zasadzie, że nasza cierpliwość i nasza zimna krew powinny być większe niż u innych narodów".

Ogólne wzburzenie skłoniło Organizację Narodów Zjednoczonych do powołania komisji dla spraw energii atomowej. Komisji tej poruczono przedkładanie Radzie Bezpieczeństwa wniosków co do

a) stworzenia pomiędzy narodami wymiany podstawowych informacji naukowych w celach pokojowych,

b) kontrolowania energii atomowej w takim stopniu, aby można było zapewnić jej używanie wyłącznie do celów pokojowych,

c) wyłączenia ze zbrojeń wszystkich narodów broni atomowej i wszelkiej innej broni wielkiej, dającej się zastosować do wyniszczania ludzi.

Po przeprowadzeniu drobiazgowych studiów komisja stwierdziła, że „międzynarodowa kontrola energii atomowej jest technicznie niemożliwa". Od tej chwili wbrew wszelkim usiłowaniom stało się niemożliwe uzgodnienie z jednej strony tez tych ludzi, którzy chcieliby postawić broń atomową poza nawiasem prawa i bomby atomowe powierzyć organizacji międzynarodowej, zanim by kontrola spełniła swoje zadanie — a z drugiej strony tez tych ludzi, którzy uważają, że Stany Zjednoczone mogą bombę atomową mieć nadal w swym posiadaniu i zachować prawo posługiwania się nią dopóty, dopóki nie zaczną obowiązywać postanowienia kontrolne.

Deklaracja „Federation of American Scientists" ukazuje niebezpieczeństwo przewlekającej się dyskusji teoretycznej, podkreśla odpowiedzialność i szczególne obowiązki Stanów Zjednoczonych w omawianym zakresie. Nasz Kongres oddałby olbrzymią przysługę sprawie pokoju, sprawie nauki i sprawie kultury, jeżeliby do swej rezolucji przyjął tezy podstawowe, tak świetnie sformułowane przez federację uczonych amerykańskich, jeżeliby — bo to jest punkt sporny — obstawał przy obciążeniu szczególną odpowiedzialnością Stanów Zjednoczonych, odpowiedzialnością uznaną przez samych nawet uczonych amerykańskich i podkreślił w tej mierze, że wyjęcie broni atomowej spod prawa winno nastąpić przed zorganizowaniem odpowiedniej kontroli, przywracając nareszcie zaufanie pomiędzy narodami, tak bardzo zachwiane od czasów eksplozji w Hiroszimie i Nagasaki.

Marcel Prenant
Przełożył **Adolf Sowiński**

FELIKS TOPOLSKI

Rysunki z Kongresu Wrocławskiego



Wsiewołod Pudowkin



Picasso, Eluard



Delegacja brytyjska: prof. B. Bernal — przyrodnik, prof. Hyman Levy — matematyk, Richard Hughes — poeta

HENRYK MARKIEWICZ

Pod znakiem nieprzezwyciężonej tradycji

Recenzja niewątpliwie jednostronna



Ksawery Pruszyński

KARABELA z Meschedu" Ksawerego Pruszyńskiego*) reprezentuje ten sam typ pisarstwa co zeszłoroczny tom „Trzynastu opowieści" Przez swoją tematykę stanowi ich uzupełnienie i kontynuację. Uzupełnienie w tym sensie, że we fragmentaryczną odysseę żołnierskiej tułaczki włącza nowe bardziej marginesowe epizody. Kontynuację zaś dlatego, że w dwu ostatnich opowiadaniach znajdujemy dwa warianty epilogu wojennej emigracji: bezimienny bohater „battle of Britain", zniszczony wysiłkiem nerwowym wrak psychiczny, ucieka z wszelkiej ludzkiej społeczności w głąb kanadyjskiej puszczy, pomiędzy wilki". Wariant drugi, pozytywny: por. Tomasz z „czarnej brygady" wraca do kraju, a choć nie miną go gorzkie rozczarowania, znajduje miejsce, które powinien zająć, odkrywa na nowo sens życia. W rodzinnej wsi podhalańskiej czeka na niego pusta szkoła i osieroceni zaniedbani chłopcy. W taki sposób „W Giewałdowej" kończy się droga, która wiodła przez Narwik.

Książki Pruszyńskiego są bardzo poczytne; krytycy przyjmują je jednak znacznie wstrzemięźliwiej niż czytelnicy. Ale i krytycy zmieniają ton, gdy tylko ogłosili swój werdykt i wchodzą na powrót w skórę zwykłych konsumentów książek. Jakie są przyczyny tej rozbieżności?

Zgrubsza biorąc, we współczesnej krytyce mam do czynienia z dwoma systemami wartościowania: pierwszy każe dodać nowość, różnorodność i skomplikowanie zabiegów pisarskich, stosowanych przez pisarza, jego wynalazczość formalną. Ocena jej zależy od niepisanej a zazwyczaj bardzo eklektywnej i elastycznej poetyki normatywnej, którą krytyk wyznaje. Metoda druga szuka ostatecznych wymiarów dla wartości utworu w jego funkcji społecznej, politycznej. Upraszczam świadomie: w praktyce obie metody współusiłują w pracach tych samych krytyków.

A tymczasem **dzisiejszy** przeciętny czytelnik — podmiot tak rozpoczętego zdania wymaga omówienia. Ten dzisiejszy masowy czytelnik to prenumerator Klubu, „Odrodzenia" i KDK, abonent prywatnych wypożyczalni, czytelnik czasopism, literackich i „Przekroju". Zapewne nie tylko on. Przyjmując jednak nawet najszerszy zakres dla pojęcia „przeciętny czytelnik", otrzymamy jeszcze ciągle w wyniku: „Czytelnik o smaku drobnomieszczańskim". Tym bardziej, że w dziedzinie literatury i sztuki ideologia drobnomieszczaństwa rozpościera się daleko poza jego bazę ekonomiczną.

Wracamy do rozpoczętego zdania. A więc — przeciętny czytelnik, tzn. czytelnik o smaku drobnomieszczańskim zupełnie innych wartości oczekuje od dzieła literackiego, niż recenzent i zupełnie inne kryteria do swej lektury stosuje. Powiedzmy z góry: kryteria pozaestetyczne. Będę starał się udowodnić, że najczęściej kryteria pozapoznawcze.

Najczęstszym określeniem, jakie otrzymujemy od czytelnika o książce, która zyskała jego uznanie, jest chyba: „To zajmująca książka". To znaczy książka, która nie wymaga wysiłku intelektualnego a skupia na sobie całą uwagę, książka, która tak absorbuje, że z pola jej usuwa wszystko inne. Ciekawość tę jako zasadniczą postawę czytelniczą trzeba jednak odróżnić od właściwej postawy poznawczej. „Hierarchia ważności" jest tu zupełnie inna. W procesie poznawania rzeczywistości, mając do czynienia z jakimś strumieniem zjawisk, wyróżniamy w nim te elementy, które są najbardziej pomocne do zrozumienia innych, najwyraźniej występują jako przyczyny lub warunki zaistnienia innych licznych elementów. Przeniesiona na grunt literatury ta zasada sprowadza się do postulatu typowości, reprezentatywności obrazów literackich.

Natomiast dzisiejszy masowy czytelnik najbardziej wrażliwy jest na to, co nie codzienne, niezwykłe, nieprzeciętne... Szereguję obok siebie synonimy, aby wyznaczyć granice szukanego pojęcia, ale nie trafiają one jeszcze w sedno. Bo przecież tu nie ma sprzeczności: reprezentatywność nie wyklucza wcale niezwykłości. Właśnie postacie kreowane przez wielkich realistów zawsze wyrastają ponad przeciętność. Konflikty, przez nich wymyślone, w swoim napięciu dalekie są od codziennej szarzyzny. Maksym Gorki pisał, że „prawdziwa sztuka ma prawo do przesady".

A więc? Nie o każdą niezwykłość i nieprzeciętność tu idzie, lecz tylko o taką, która jest nie **prawdą** poznawczo ważną, lecz zaledwie **faktem** frapującym, zaledwie curiosum. Tu przebiega granica między autentycznością a realizmem.

Tak rozumianej ciekawości służy choćby egzotyka opowiadań Pruszyńskiego. Nie jest przypadkiem, że w jego utworach Francja to zapadłe miasteczko i zaułki Paryża, Anglia to zacofana i zdziwaczała szkocka prowincja, Związek Radziecki — to średniowieczna legenda uzbecka. Nie jest przypadkiem, że najstaranniej rysuje portrety z bardzo ubocznego marginesu narodowościowego i społecznego Polski przedwrześniowej.

W egzotycznych albo i nieegzotycznych środowiskach wyrastają pod piórem Pruszyńskiego charaktery — „oryginały". Jest tu i ów żydowski antykwariusz z Suwałk, urzeczony kulturą polską i — ambicją pośmiertnej sławy (na pewno autentyczny, ale o ileż mniej prawdziwy od zastanawiająco podobnego antykwariusza ze wspomnień Karola Estreichera). Jest pop wołyński, już i gente i natione Ruthenus, ale także urzeczony kulturą polską i dzięki temu lojalny mimo wszystko obywatel Rzeczypospolitej. Jest góralska dziewczyna, którą los wiedzie poprzez paryski bordel, i pracownię do francuskiego Ruchu Oporu. To ostatnie opowiadanie („Krysia") mimo naszej woli przypomina innego szczęśliwego kolekcjonera niezwykłych okazów ludzkiego rodzaju: Axela Munthe.

Ale w tej niespodziance, jaką dla czytelników stanowią bohaterzy Pruszyńskiego, kryje się jeszcze jedna niespodzianka. Każde prawie opowiadanie kończy się zaskakującym czytelnika postępkiem bohatera, niespodzianą sytuacją, w której go pozostawiamy. Lazara Gitmana okradającego meczet w Meschadzie, aby zdobyć szablę dla gen. Sikorskiego; dezertera Szmagacza z karabinem, którego nie porzuca w ostatecznej klęsce i powszechnym rozprzężeniu i prostytutkę Krystę u boku amerykańskiego businessmana i pułkownika, Mr. Henry H. Goulda; księdza Ułasa, gdy 17 września 1939 r. kończy swój rachunek krzywd z Rzecząpospolitą Polską — modlitwą za jej walczących z Niemcami synów.

Po przeczytaniu paru opowiadań — odkrywamy wspólny im „mechanizm zaskoczenia" i — czekamy tylko na moment, kiedy zacznie działać. Autor dba, żebyśmy tego momentu nie przeoczyli: zaskoczenie sprzężone jest z patetycznym gestem. Idealny wzorzec konstrukcji to pamiętna scena z siekiewiczowskich „Krzyżaków", kiedy oślepły Jurand dostaje w swoje ręce związanego Kunona Lichtensteina, zbliża do jego ciała mizerykordię i — moment najwyższego napięcia — rozcina więzy wroga.

Te niespodzianki spełniają jeszcze jedną funkcję w poetyce opowiadań Pruszyńskiego: one dopiero stabilizują los i określają ostateczna wartość bohaterów. Umieszczając je z reguły na końcu poszczególnych utworów Pruszyński do ostatniej chwili nie pozwala osłabnąć emocjonalnemu zaangażowaniu odbiorców.

W arsenale środków pisarskich Pruszyńskiego nie można również pominąć sentymentalizmu, sztuki wywoływania łatwych pozaliterackich wzruszeń w czytelnikach. Kontrast między śmiercią gen. Sikorskiego a radosnymi okrzykami angielskich sprzedawców gazet, obraz poczciwego sierżanta Józefa Pileckiego w glorii wojennej pod paryskim Łukiem Tryumfalnym, dzwony na Anioł Pański witający żołnierza — tułacza w rodzinnej wsi — oto pierwsze z brzegu przykłady tego zabiegu pisarskiego, przed którym chętnie kapituluje czytelnik, który jest jednak zarazem kapitulacją autorską — wyborem linii najmniejszego oporu.

Czytelnik szuka niezwykłości, nie chce, żeby w książce było jak w życiu codziennym, ale przecież żąda (czasem podświadomie) by to, co czyta było prawdziwe, tzn. „wzięte z życia". Dlatego nie lubi np. komentarza, rozwiewającego iluzję prawdy. Proza Pruszyńskiego (w której stosunek elementów fikcji do elementów reportażu i wspomnień bardzo rozmaicie się kształtuje i ostatecznie jest sekretem autora) i pod tym względem daje mu satysfakcję. Życiową autentyczność opisywanych postaci i zdarzeń gwarantuje nie tylko sugestywność przedstawienia, ale i osoba narratora, którym jest bez wszelkich zastrzeżeń Ksawery Pruszyński oraz obfita przymieszka niewątpliwie autentycznych szczegółów wtopionych w narrację prowadzoną na prawach — chciałoby się je czasem nazwać: „bezprawiem" — gawędy. Tusza Czesława Miłosza, dowcip Wikty Wittlin czy znudzenie Mariana Kistera na wystawie nowojorskiej — służą ostatecznie temu, by nikt nie zwątpił w prawdziwość niezwykłego życia Krysty ze Skomoroch.

Egzotyzm, kolekcja oryginałów, niespodzianka, patetyczny gest, sentymentalizm, autentyczność — wszystkie te czynniki stają się wtedy dopiero „walentne" w odbiorze czytelniczym, gdy ideologia książki conajmniej nie jest sprzeczna z klasowymi czy grupowym interesami odbiorców.

Nie będę się tutaj kusił o określenie ideologicznego sensu opowiadań Pruszyńskiego — zrobił to precyzyjnie Ryszard Matuszewski w swej recenzji „Trzynastu opowieści". („Kuźnica" 1947, nr 22); przypomnę tylko krótką charakterystykę ich pozytywnego bohatera. Zresztą, wyjdzie to na jedno. Z dużą skłonnością można powiedzieć: „Pokaż mi dodatniego bohatera książki, a powiem ci czyje dążenia on wyraża". Otóż ten dodatni bohater Pruszyńskiego (zdumiewająco podobny w kilku opowiadaniach, zdumiewająco papierowy w przeciwieństwie do innych postaci), to odważny żołnierz tronowy (dla ścisłości; co najmniej w randze podchorążego), pełen niechęci nawet pogardy dla tępej brutalności sanacyjnej kasty oficerskiej oraz dla niedołęstwa i tchórzostwa sztabowej „góry". Ceni postęp, ale głęboko przywiązany jest do tradycji. Sympatyzuje z ruchami rewolucyjnymi, nie tyle dla ich istotnych celów, co dla romantycznego wyglądu. Rozumie, że nie można liczyć na Anglosasów i że racja stanu nakazuje dobre stosunki z Rosją. Wcześnie uświadamia sobie, że emigracja jest bezsensowna, że trzeba wrócić do kraju i wziąć się do pracy przy odbudowie materialnej i duchowej. Nie ma przesądów społecznych i uważa reformy w nowej Polsce za konieczne. Jakie reformy? — Nie wiadomo. To wszystko.

Ta konstrukcja opiera się na dwóch zasadach. Pierwsza z nich to historyzm: Pruszyński umieszcza w profilu ideowym swego bohatera główne te cechy, które dają się wyprowadzić z postępowej myśli polskiej pierwszej połowy XIX w. Te bowiem na pewno nie będą szokować drobnomieszczańskiego czytelnika, z nimi jest dostatecznie oswojony.

Druga zasada — to dążenie do największego „wspólnego mianownika" poglądów. Autor dobiera tylko takie cechy, których zespół będzie do przyjęcia dla zwolenników niemal wszystkich legalnych w Polsce kierunków ideologicznych. Każdy z nich może się do bohatera Pruszyńskiego przyznać, w pewnej mierze nawet marksiści. Ale afirmując to, w co wyposażył autor swoje kreacje, nie można się pogodzić z pozostałymi w nich — używając terminu Ingardena — „miejscami niedookreślenia" ideologicznego, a raczej — niedomyślenia najistotniejszych problemów do końca.

Nie jest to zarzut tylko w stronę bohatera. Bo granice jego świadomości są zarazem granicami najlepszej wiedzy autorskiej, **wniesionej w dzieło.**

Taką ideologię przyjmuje dzisiejszy czytelnik bez zastrzeżeń. Nic tu nie ma do przezwyciężenia. Ale także — do niczego nie trzeba dorastać. Taką mgławicę światopoglądową można było kiedyś ocenić jako konieczny etap przejściowy, jako zapowiedź późniejszej krystalizacji. Dziś — wywołana ponownie spełnia zupełnie odmienną funkcję i wymaga innej oceny. Niezależnie od intencji autorskich — daje nawet kołtunowi przeświadczenie o jego postępowości (a któż dziś w Polsce nie uważa się za zwolennika „prawdziwego" postępu?), w wahających się i zapóźnionych konserwuje zastarzałe schematy myślowe i pozostawia nietknięte uczuciowe opory. Ta książka zatrzymuje się na pozycjach ideologicznych, które są już za nami. Ma jedno tylko oblicze — zwrócone w przeszłość.

Henryk Markiewicz

*) Ksawery Pruszyński: „Karabela z Meschedu". Opowiadania. 1948. Sp. Wyd. „Czytelnik". Klub Dobrej Książki, II.

SAMUEL FISZMAN

Polonica w naukowych czasopismach radzieckich

ZJAWISKO wzrastającego wciąż w Związku Radzieckim zainteresowania Polską, jej dziejami i kulturą jest faktem dodatnim. Jednym z przejawów tego zainteresowania są liczne rozprawy na tematy polskie oraz recenzje z prac uczonych polskich, jakie w ostatnich czasach napotkać można w naukowych czasopismach radzieckich. W pierwszym rzędzie wymienić należy wydawane przez Instytut Historii Akademii Nauk ZSRR „Woprosy Istorii". Trzeci numer tego czasopisma za 1948 r. publikuje artykuł U. Szustera p. t. „Powstanie poznańskie w roku 1848". Autor analizuje takie kwestie jak, polityka Prus wobec Wielkopolski, przyczyny powstania w 40-tych latach XIX wieku Komitetu Poznańskiego, Związku Komitetu z emigracją polską we Francji i wpływy orientacji demokratycznych i zachowawczych wśród emigracji na społeczeństwo wielkopolskie, działalność Ludwika Mierosławskiego i innych członków komitetu, klasowe przyczyny wybuchu powstania, etc. W pracy został dokładnie omówiony przebieg powstania oraz rola, jaką odegrały w powstaniu z jednej strony warstwa chłopska i rzemieślnicza, a z drugiej strony szlachta i arystokracja polska.

U. Szuster dochodzi do następujących wniosków: „Powstanie polskie w Poznaniu jest przykładem ruchu narodowego w „epoce społeczeństwa burżuazyjno - demokratycznego". Dla tej epoki „charakterystyczne są ruchy narodowe i wciągnięcie do tych ruchów chłopstwa, najbardziej licznej i najbardziej nieruchliwej warstwy społeczeństwa" (Lenin). W Polsce ten związek organiczny walki o wyzwolenie narodowe z walką chłopstwa o ziemię i przeciwko uciskowi feudalno-pańszczyźnianemu jest tym bardziej wyraźny, że kwestia agrarno-chłopska była najważniejszym zagadnieniem ekonomicznym i politycznym społeczeństwa. Właśnie wskutek tego losy polskich ruchów narodowych były zależne od stanowiska i zachowania się polskiej szlachty obszarniczej w stosunku do chłopstwa. Tak było w powstaniu w 1831 r., w nieudanej próbie powstania w Galicji w r. 1846, w powstaniu poznańskim w r. 1848. Arystokracja polska w tej epoce w dalszym ciągu była nosicielem tradycji narodowych, ideałów odrodzenia niezależnej Rzeczypospolitej. Ale kiedy walka o realizację tych ideałów nieuchronnie splatała się z rozwiązaniem kwestii agrarnej i chłopskiej, jak to miało miejsce w 1848 roku,—szlachta zatrzymywała się przed tą kwestią, strach przed ruchami społecznymi zmuszał ją do poszukiwania półśrodków. To jest pierwszy rys charakterystyczny i słaby punkt powstania poznańskiego. Drugi moment, który spowodował słabość powstania — to błędne postulaty polityczne demokracji polskiej. Demokracja polska zahypnotyzowana przez ideę ogólnopolskiego powstania przeciwko Rosji traktowała powstanie poznańskie jako uboczne ogniwo w swoich planach. Demokraci szlacheccy początkowo nie chcieli, a potem nie potrafili zorganizować powszechnego powstania w Poznaniu przeciwko Prusom. Obszarnicy poznańscy z jednej strony i demokraci szlacheccy — z drugiej strony, wychodząc całkowicie z różnych założeń wpływali fatalnie na przebieg i losy powstania. Pierwsi dążyli do kompromisu z Prusami, drudzy unikali kłótni z Prusami. Zdrada pierwszych i bierność drugich dezorientowały zbuntowane chłopstwo, hamowały rozpęd powstania, zwęziły jego rozmach i skazały go na klęskę".

W tym samym numerze „Woprosy Istorii" I. Bekker publikuje artykuł p. t. „Dekabryści i kwestia polska". W oparciu o materiały archiwalne i liczne publikacje Bekker oświetla stosunki wzajemne Dekabrystów i Towarzystwa Patriotycznego, przytacza zeznania Sołtyka, Krzyżanowskiego, Jabłonowskiego, Grodeckiego, jak też dane dotyczące spotkań i wspólnych narad przedstawicieli Dekabrystów i Towarzystwa Patriotycznego. Bekker dowodzi, że spotkania te i narady nie doprowadziły do zawarcia umowy o wspólnym działaniu obu organizacji. Po zdławieniu powstania Dekabrystów i po procesie nad członkami Towarzystwa Patriotycznego niejednokrotnie w Polsce wspomniano o Dekabrystach. Bekker cytuje ustępy z zeznań Nowickiego, protojereja cerkwi prawosławnej w Warszawie, z których dowiadujemy się o niektórych szczegółach nabożeństwa dla uczczenia pamięci męczenników walki o wolność Rosji: Murawiewa, Bestużewa, Rylejewa, Kochowskiego, Pestela, które odbyło się w cerkwi prawosławnej w Warszawie 13-go stycznia 1831 r. Autor przytacza teksty odezw do „Braci Rosjan" z czasów powstania 30-go roku, w których niejednokrotnie wspominano o Dekabrystach.

Po upadku powstania Dekabryści w dalekiej Syberii robili wszystko, co było w ich mocy, aby ulżyć losowi polskich zesłańców. Bekker kończy swój artykuł następująco: „O Dekabrystach i naradach z nimi emigranci polscy wspominali na organizowanych w różnych miastach Europy zachodniej dorocznych uroczystościach, poświęconych powstaniu 1830 roku. Hercen z wdzięcznością zaznaczał, że w ciężkich latach mikołajewszczyzny, gdy nikt w Rosji nie ośmielał się wspomnieć o Dekabrystach, Polacy, znajdujący się na emigracji byli jedynymi ludźmi w Europie, którzy się dobrze o nich wyrażali. Charakterystycznym jest, że na tych wszystkich zebraniach z roku na rok przekazywana była legenda o tym, że w czasie narad między Dekabrystami i Polakami zawarty był sojusz, czego w rzeczywistości nie było. Legenda o tym sojuszu, zawartego między przedstawicielami Rosji rewolucyjnej i Polski uczyniła jednak wiele dobrego. Ona pomogła w umocnieniu przyjaźni między Polską demokratyczną i Rosją w tych ponurych czasach, kiedy rząd carski uciekał się do wszelkich możliwych środków, aby siać waśnie i nienawiść między obu narodami".

Czasopismo „Woprosy Istorii" Nr 5 1948 r. zamieściło niezwykle ciekawą pracę M. Bogusławskiego p. t. „Walka polityczna w Polsce w związku z ofenzywą faszystowską na Czechosłowację". Autor stwierdza, że umowa

polsko-niemiecka zawarta w 1934 r. najzupełniej odpowiadała planom reakcjonistów francuskich, angielskich i amerykańskich, głównym celem których było popchnąć Niemcy przeciwko Związkowi Radzieckiemu. Faszyści polscy, czując za plecami poparcie państw zachodnich, odważyli się latem 1938 roku wziąć udział w agresji hitlerowskiej przeciwko Czechosłowacji. „Spotkawszy jednak na tej drodze kategoryczny sprzeciw szerokich mas narodu polskiego faszyści polscy przedsięwzięli cały szereg środków, aby za pośrednictwem swoich agentów w masowych partiach politycznych wciągnąć te partie do szowinistycznej kampanii antyczeskiej". Na wstępie autor zastanawia się ponadto nad różnicami, jakie w 1938 roku istniały między sanacją i Stronnictwem Narodowym z jednej strony a „frontem Morges" z drugiej strony, zaznaczając jednak, że różnice te nie miały charakteru zasadniczego. W swoim obszernym artykule autor przedstawia walkę komunistów, lewych socjalistów jak Dubois, Barlicki i inni przeciwko faszyzmowi, przeciwko polityce Becka, w obronie Czechosłowacji, oraz sromotną rolę, jaką odegrały w dywersji przeciwko Czechosłowacji góry PPS i SL. Szczególnie wiele uwagi autor poświęca nastrojom, jakie panowały na wsi polskiej w 1938 r. oraz walce dołów partyjnych PPS i SL przeciwko zdradzieckiej taktyce gór tych partyj.

Autor konkluduje: „Zwycięstwo „cieszyńskie", które sanacja uważała za triumf swojej polityki, było w rzeczywistości największą klęską Polski. W rezultacie „zwycięstwa cieszyńskiego" zostało zagrożone od podstaw istnienie państwa polskiego i polskiego narodu. Sanacja pomogła faszyzmowi niemieckiemu zająć dogodne pozycje strategiczne dla otoczenia Polski i rozgromienia armii polskiej. Jednocześnie sanacja poparłszy monachijski spisek antyradziecki Niemiec, Anglii, Francji i Włoch świadomie poszła na pogorszenie stosunków polsko-radzieckich. W trakcie wypadków czechosłowackich i po Monachium ruch antyhitlerowski i antyniemieckie nastroje szybko wzmogły się w Polsce... Rosnący wciąż opór narodu przeciwko zdradzieckiej polityce zagranicznej sanacji był dominującym zjawiskiem w politycznym życiu Polski, wywołanym przez wypadki monachijskie w 1938 r. Ten opór jednak okazał się nie wystarczającym dla obalenia sanacji, ponieważ w kraju nie było zorganizowanej partii, która wskazałaby narodowi słuszną drogę, stanęłaby na czele jego walki przeciwko faszyzmowi i ustrojowi kapitalistycznemu w ogóle, zaś prawicowi socjaliści i przywódcy partii chłopskiej, maskując się frazesami demokratycznymi, zdradzali naród i ratowali przed krachem zgniły ustrój burżuazyjno-obszarniczy. Za tę zdradę naród polski zapłacił klęską narodową w r. 1939 i niesłychanymi cierpieniami pod piętą najeźdźców niemieckich".

Praca Bogusławskiego oparta jest na artykułach z „Gazety Polskiej", „Kuriera Warszawskiego", „Dziennika Popularnego", „Robotnika" i in. oraz na oryginalnych dokumentach z archiwów Lwowa, Stanisławowa, jak biuletyny różnych województw, raporty wojewodów i starostów, cyrkularze stronnictw politycznych, etc.

„Izwiestia Akademii Nauk SSSR" seria istorii i filosofii" t. 5 Nr 3 1948 r. publikuje artykuł I. S. Józefowicza p. t. „Wielka rewolucja październikowa a powstanie państwa polskiego w 1918 r."

Autor rozpoczyna swoje wywody od omówienia stanowiska młodej republiki radzieckiej w kwestii niepodległości Polski oraz stosunku narodu polskiego do rewolucji październikowej. Najwięcej uwagi autor poświęcił roli poszczególnych ugrupowań politycznych w Polsce w czasie powstania niepodległego państwa szczególnie uwypuklając postać Piłsudskiego na tle walki burżuazji polskiej z wzrastającą pod wpływem rewolucji w Rosji aktywnością mas w Polsce. Autor stwierdza, że „większość burżuazyjnych historyków polskich, nie mówiąc już o jawnych apologetach Piłsudskiego, zawsze świadomie przemilczała rolę Wielkiej Październikowej Rewolucji Socjalistycznej w ukształtowaniu losów historycznych Polski i odrodzenia jej niepodległości. Silnie podkreślając przy tym rolę polskich Legionów i tendencyjnie wyolbrzymiając „historyczną" rolę Piłsudskiego w odrodzeniu państwa polskiego jawnie ignorują rolę bezpośredniej aktywności polskich mas w walce o swoje wyzwolenie narodowe... Demaskowanie antyludowej i antynarodowej roli Piłsudskiego i piłsudczyzny ma niewątpliwie i aktualne znaczenie polityczne ponieważ obóz reakcyjny przepełniony nieprzejednaną nienawiścią do nowej Polski ludowej próbuje wypaczyć prawdę historyczną o piłsudczyźnie i jej prawdziwej roli w tworzeniu się państwa polskiego. Tą drogą reakcja polska usiłuje odrodzić legendę o Piłsudskim i wykorzystać ją jako sztandar dla swoich daremnych usiłowań odwrócenia wstecz koła historii".

Po przypomnieniu, że w hitlerowskich Niemczech niezwykle się interesowali Piłsudskim, że drukowane prace, przemówienia, rozkazy Piłsudskiego zostały przetłumaczone i wydane w Niemczech w 1935 roku z wstępnym słowem Goeringa, autor konkluduje: „Historycy jeszcze niejednokrotnie zajrzą ciekawym wzrokiem w przeszłość, żeby wydobyć na światło dzienne jawnie oczywistą antynarodową i antyludową rolę Piłsudskiego w tworzeniu się państwa polskiego oraz żeby wszechstronnie i do końca zbadać i przeanalizować stosunek sił różnych grup politycznych w społeczeństwie polskim, przedstawić ich pozycję w okresie październikowej Rewolucji Socjalistycznej, która odegrała decydującą rolę w stworzeniu koniecznych przesłanek dla odbudowy państwa polskiego".

„Sowietskaja Etnografia" Nr 2 1948 r. zamieściła rozprawę T. A. Trofimowej p. t.: „Kraniologiczne dane do etnogenezy słowian zachodnich". (Słowianie wczesnego średniowiecza na terytorium Niemiec i Polski).

We wstępie zawierającym rys historyczny badań kraniologicznych, dotyczących słowian zachodnich autor omawia między innymi prace polskich uczonych Kopernickiego, Talko-Hryncewicza, Rutkowskiego, Czekanowskiego i Lehra - Spławińskiego. Autor stwierdza, że „koncepcja etnogenezy słowian nie zmieniła się na przestrzeni ostatnich czterdziestu lat od czasu opublikowania w 1896 r. pracy Niederlego o pochodzeniu słowian. Dla owego czasu praca ta miała wielkie postępowe znaczenie. Ze wszystkich badaczy, piszących przed nim, Niederle najbardziej przekonywująco pokazał pokrewność cech kraniologicznych między Słowianami i Germanami, przewagę wśród obu grup typu długogłowego, związek słowiańskich i germańskich plemion z mieszkańcami Europy okresu neolitu. Niederle wysunął także zagadnienie zmienności typu antropologicznego Słowian w następnych okresach aż do czasów współczesnych. Niederle, nie będąc w żadnej mierze rasistą był wierny swojej epoce i walczył z koncepcjami „nordystów" niemieckich ich własną bronią. t. j. dowodził, że Słowianie w takiej samej mierze są „nordykami", jak i Germanie. Prace Czekanowskiego... i Lehr-Spławińskiego w swojej części antropologicznej wywodzą się z Niederlego, a ponieważ metodologicznie wszystkie te prace w kwestiach etnogenezy opierają się na lingwistyce indoeuropejskiej i teorii migracyjnej, to okazuje się, że w pracach tych uczonych koncepcja etnogenezy słowian nie uległa zmianie od czasu ukazania się pracy Niederlego. Wszyscy ci autorowie przyjmują punkt wyjściowy Niederlego, że Słowianie starożytni, jak i inni Indo-europejczycy, należeli do rasy północnej i w czasie swojego rozsiedlenia się z jakiegoś określonego terytorium rozpowszechnili typ północny.

Wypada z przykrością podkreślić — pisze autorka, że w pracy Lehr-Spławińskiego można znaleźć reminiscencje niemieckiej teorii rasowej. Lehr-Spławiński pisze, że nordyczne elementy na terytorium utworzenia się słowiańszczyzny odpowiadały zasięgowi kultury ceramiki sznurowej oraz że trudno wątpić o wzajemnej zależności tych zjawisk. Dalej Lehr-Spławiński zaznacza, że kultura łużycka w swojej głównej ekspansji obejmuje terytorium, które znacznie się rozszerza w kierunku południowym w porównaniu z późniejszym terenem, na którym w tych okolicach przebywali nordycy, ale dalsze przemiany tej kultury prawie że zupełnie ograniczone są tym terenem. „Nasuwa się przypuszczenie — pisze Lehr-Spławiński, że skład rasowy tego terytorium nie był obojętny dla tej ewolucji kulturalnej, która, jak powiedzieliśmy, była tożsama z krystalizacją prasłowiańskiego kompleksu etniczno - językowego" (podkreślone przez Trofimową). W ślad za przytoczonym twierdzeniem Lehr - Spławiński usiłuje dowieść, że w tym kompleksie element nordyczny odgrywał rolę przodującą.

W literaturze radzieckiej praca Lehr-Spławińskiego została oceniona jako „nowa próba rozwiązania kwestii pochodzenia i praojczyzny Słowian z punktu widzenia teorii indoeuropejskej" (Piczeta). Dodatnią stronę pracy Lehr-Spławińskiego Piczeta upatruje w tym, że Słowianie w tej pracy nie występują jako już sformowany pod względem etniczno-językowym i kulturalnym element, który kształtuje się w długotrwałym procesie krzyżowania się i przenikania różnych elementów etniczno - językowych i kulturalnych. W krytycznej zaś części swojej recenzji Piczeta omawiając niesłuszne założenia metodologiczne Lehra-Spławińskiego i wypływające stąd jego błędy, prawie że nie zastanawia się nad wywodami antropologicznymi Lehra-Spławińskiego i nie zwraca uwagi na niezwykle błędne i reakcyjne wypowiedzi autora. Aczkolwiek badania Lehr-Spławińskiego skierowane są przeciwko poglądom szkoły niemieckiej w kwestii pochodzenia Słowian, to jednak w części antropologicznej autor stoi na stanowisku rasizmu nordycznego, przeszczepionego z gleby germańskiej na słowiańską".

Po przytoczeniu szeregu danych własnych oraz innych autorów Trofimowa dzieli Słowian zachodnich, którzy zamieszkiwali tereny współczesnych Niemiec i Polski w okresie wczesnego średniowiecza, na cztery typy i stwierdza: „Na terenie północnych Niemiec i Polski w czasie wielkiej wędrówki ludów nie było masowej zmiany ludności. Nie ma żadnych podstaw do przypuszczenia, że Słowianie pojawili się później na terytorium Niemiec północnych. Kształtowanie się omówionych grup Słowian zachodnich odbywało się w zasadzie na tych samych terytoriach, na których oni znani są na podstawie późniejszych źródeł piśmiennych.

Istnienie kilku typów kraniologicznych wśród omówionych grup Słowian zachodnich, związanych z mieszkańcami najstarszych epok tych samych terenów nie daje podstaw do rozpatrywania jakiegoś z tych typów jako wyjściowego typu prasłowiańskiego. Słowianie, jak i wszystkie inne grupy narodów Europy, kształtowali się na gruncie rasowo różnorodnym.

W związku z tym, że w skład Słowian weszły różnorodne typy antropologiczne znane dla różnych kultur neolitu, a także i bronzu, można na podstawie danych antropologicznych mówić o skrzyżowaniu różnych ugrupowań plemiennych, reprezentowanych w tych kulturach, które w procesie etnogenezy doprowadziły do utworzenia się badanych grup Słowian zachodnich. Jednocześnie należy zaznaczyć, że wyjściowe typy antropologiczne, które weszły w skład tworzących się grup Słowian zachodnich w większości zgodne są z tymi, które prześledzić można na terytorium etnogenezy wschodnio - słowiańskiej. Kwestia związków antropologicznych Słowian zachodnich i południowych wymaga jeszcze dalszych badań.

Istnienie niektórych typów kraniologicznych, znanych tak wśród grup słowiańskich, jak i wśród grup germańskich wczesnego średniowiecza, wywodzących się z epoki neolitu, świadczy o istnieniu prastarych związków tych grup w stykających się strefach ich powstawania".

W tym samym numerze „Sowietskaja Etnografia" znany radziecki uczony L. S. Berg publikuje pracę p. t.: „Nazwy ryb i wzajemne etniczne stosunki Słowian". Jednocześnie L. A. Bułachowski ogłosił w „Izwiestiach Akademii Nauk SSSR — Otdielenie literatury i jazyka" Nr 2 1948 pracę pt.: „Ogólnosłowiańskie nazwy ptaków". W obu artykułach przytoczone zostały polskie nazwy ryb i ptaków. Porównanie z nazwami ryb i ptaków innych słowiańskich narodów pozwala autorom na wyciągnięcie ciekawych wniosków dotyczących wzajemnych etnicznych stosunków Słowian.

Niestety nie sposób jest przytoczyć tutaj wszystkich opublikowanych w czasopismach naukowych radzieckich w 1948 r. recenzji i omówień prac uczonych polskich. Zwrócimy więc uwagę tylko na niektóre z nich. Czasopismo „Priroda" Nr I 1948 ogłasza artykuł D. W. Lebiediewa p. t. „Nowe osiągnięcia odradzającej się nauki polskiej. Jest to już drugi artykuł tego autora pod tym samym tytułem („Priroda" Nr 2 1947). Lebiediew omawia ostatnie przemiany na wyższych uczelniach w Polsce, działalność towarzystw naukowych, instytutów naukowo - badawczych, wydawnictw naukowych, etc.

W „Woprosy Istorii" Nr 2 1948 I. Miller informuje radzieckiego czytelnika o tematyce miesięcznika wojskowego „Bellona" oraz streszcza szereg artykułów opublikowanych w tym czasopiśmie w latach 1945—1947. Szczególnie dokładnemu omówieniu recenzent poddaje artykuły płk. Jerzego Kirchmajera: „Wojna polsko-niemiecka 1939 roku", gen. Korczyca: „W pierwszą rocznicę zwycięstwa", ppłk. Janusza Horodeckiego: „Bitwa pod Studzianką" i szereg innych. Recenzent stwierdza: „Już zwykłe wyliczenie artykułów starczy, żeby się przekonać o wielkiej wadze materiałów zebranych na stronicach czasopisma. Czasopismo dokonuje ważnej i koniecznej pracy gromadząc cenny materiał z dziedziny historii współpracy wojskowej odrodzonych sił zbrojnych demokratycznego państwa polskiego i armii radzieckiej".

W Nr 5-ym 1948 „Woprosy Istorii" W. Koroluk ogłasza obszerną recenzję LIV-go rocznika „Kwartalnika Historycznego". W recenzji zawarta jest polemika z wywodami A. Vetulaniego, a tym samym z wywodami S. Kutrzeby, wyłuszczonymi w artykule Vetulaniego „Stanisław Kutrzeba jako historyk prawa". Recenzent przeciwstawia poglądowi Kutrzeby na temat wpływów polskich na rozwój ustroju społecznego i politycznego Litwy — pogląd Piczety, który sformułował tezę, że feudalizm na Litwie rozwijał się nie pod wpływem Polski, Rosji lub zakonu krzyżackiego, ale w wyniku rozwoju własnych sił wytwórczych. Recenezent omawiając drugi rozdział „Kwartalnika" przytacza dane o pracach uczonych polskich zmarłych w czasie wojny. Récenzent żałuje, że w radzieckich czasopismach historycznych nie znalazła żadnego oddźwięku obszerna praca Feldmana: „Problem polsko-niemiecki w dziejach". Jednocześnie Koroluk polemizuje z niektórymi wnioskami Feldmana zawartymi w jego wcześniejszych pracach, poświęconych epoce Augusta II i wojny północnej, uważając za niesłuszny pogląd Feldmana, jakoby Rosja w owym czasie była głównym wrogiem Polski i jakoby jedynym ratunkiem dla Polski mógł być sojusz ze Szwecją lub Portą Ottomańską.

„Woprosy Istorii" Nr 2 1948 w rozdziale „Nowe prace historyczne opublikowane w krajach słowiańskich" przynosi omówienie następujących prac uczonych polskich: Assorodobraj — „Początki klasy robotniczej", Popiołek: „Dzieje hutnictwa żelaznego na ziemiach polskich", Piwarski: „Historia Śląska w zarysie", „Relacja Ibrahima Ibn Jakuba", Tadeusza Kowalskiego, Widajewicz: „Studia nad relacją o Słowianach", Ibrahima Ibn Jakuba", Lewicki: „Polska i kraje sąsiednie w świetle „Księgi Rogera", Pospieszalski: „Polska pod niemieckim prawem" oraz szeregu artykułów, opublikowanych w numerze 7 i 8 1947 „Przeglądu Zachodniego". Bardzo dokładną bibliografię polskich prac z dziedziny prawa, jak i artykułów ogłaszanych w polskich czasopismach prawniczych odnaleźć można w każdym numerze „Sowietskoje gosudarstwo i prawo".

Samuel Fiszman

Reportaże z Niemiec powojennych

Zbiór artykułów M. Podkowińskiego pt. „IV Rzesza rośnie", który ukazał się ostatnio nakładem „Wiedzy", wprowadza nas w zagadnienia polityki i życia Niemiec w ciągu pierwszych dwu lat po wojnie.

Autor wprowadza czytelnika za kulisy wielu spraw, które chyba zrodziły się po to, by służyć przysłowiowemu „mydleniu oczu" — a więc denazyfikacji, reedukacji i wszystkich tych „cji" i fikcji, o których tak wiele mówi się w świecie, niezależnie od faktu, że śmieją się z nich niekiedy sami Niemcy.

Książka Podkowińskiego potwierdza te wszystkie wiadomości jakie przenikały do nas w ciągu tych lat, zwłaszcza z zachodnich stref Niemiec, faktami i datami podkreśla istnienie na ich obszarze niewygasłych ognisk nazizmu, udowadnia, że bakcyle ideologii Hitlerjugend i BDM rozsiewane przez tyle lat rozwijają się tam nadal wśród niemieckiej młodzieży, tak skłonnej do wiary we wszelkie mity. Tu i ówdzie bakcyle rozrastają się do rozmiarów całej zorganizowanej akcji, przypadkowo jedynie likwidowanej przez zachodnich aliantów.

Naprzekór zaleceniom Rady Kontrolnej w Niemczech zachodnich zachowano podstawy pod przyszły rozwój wielkiego przemysłu niemieckiego. Niemieccy kapitaliści znów stoją na czele wielkich trustów i karteli, niezależnie od tego, czy byli dygnitarzami partii hitlerowskiej czy też tylko wysokimi urzędnikami w sztabach. Mały „Parteigenosse" ze sfer zachodnich wie o tym wszystkim i zaciera ręce, dopatrując się w tym realnych nadziei na odbudowę Niemiec faszystowskich — bez Hitlera coprawda, ale zawsze w duchu imperializmu. Zresztą nowy Hitler się znajdzie, jak tylko będzie odpowiednia koniunktura — twierdzą „mali Pg." Chociażby Schumacher...

Trzeba przyznać, — twierdzi Podkowiński, — że w Niemczech trwa nastrój wyczekiwania i nikt, jak na to wskazują fakty, nie pogodził się z myślą wegetacji na obecnym poziomie.

Książka Podkowińskiego daje plastyczny obraz rzeczywistości powojennych Niemiec, a są miejsca, w których słowa jej muszą brzmieć w uszach polskiego czytelnika jako głos ostrzeżenia. Podkreślić trzeba jednak, że pomija ona milczeniem sprawy wielkich przemian, jakie dokonały się w strefie radzieckiej Niemiec, co sprawia, że obraz jaki daje, choć trafny, jest w chwili obecnej częściowym już tylko obszarem niemieckiej rzeczywistości. Z tym zastrzeżeniem przyjąć można, że spełnia ona swe zadanie informowania czytelnika polskiego o tym, co dzieje się w dzisiejszych Niemczech.

Feliks Bąbol

TREŚĆ Nr. 38:

Noty

Hitler temu nie winien

W Moguncji odbył się w tych dniach zjazd katolików niemieckich. Z tej okazji papież wygłosił przez radio watykańskie orędzie, które następnie zostało w pełnym tekście opublikowane przez „Osserwatore Romano", skąd czerpiemy informacje i cytaty.

Przypomniawszy swój pobyt w Moguncji w r. 1928 i wyraziwszy uznanie dla katolików niemieckich, którzy w ostatnim stuleciu rozwinęli „owocną działalność organizacyjną", papież oświadczył:

„Kongres ten powinien wskazać przywódcom, w jakim kierunku powinni podążać w przyszłości. Musicie utorować sobie w przyszłości drogę żmudną i cierpliwą pracą".



Dotychczas wszystko w porządku. Jednakże, czyniąc aluzję do marksizmu, papież oświadczył ponadto:

„Przed stu laty wyszły z waszego kraju słowa, które głosiły obalenie gwałtem dotychczas obowiązującego porządku społecznego. Słowa te zostały dziś, niestety, w szerokim zakresie wcielone w życie. Wasze zburzone miasta są wymownym świadectwem realizacji tych słów".

Wobec tego Hitler nie ponosi żadnej winy. Jest zbawiony.

lm

Współczesna Brazylia

Kto zna Brazylię tylko jako piękny i romantyczny kraj z książek podróżniczych, niech posłucha, co o niej powiedział na Kongresie Wrocławskim pisarz brazylijski, Jorge Amado:

„Surowy powinien być głos i bezpośrednie słowa tych, którzy przemawiają w imieniu intelektualistów państw Ameryki Łacińskiej. Szczególnie surowym powinien być głos, który mówi w imieniu kultury brazylijskiej, gdyż mój głos jest oddźwiękiem tych wszystkich głosów, które wołają w więzieniach, w podziemiach nielegalności i groźby ograniczeń wszelkiego rodzaju, nie dopuszczających wolnego wypowiedzenia się.



Niektórzy sądzą, że jest to kraj ras szczęśliwych, które spędzają swój czas na tańcach przy melodiach romantycznych. Mamy jednak inną rzeczywistość, bardziej dramatyczną, bardziej ludzką, zupełnie odmienną, jeżeli chodzi o zabarwienie, które przypomina raczej kolor krwi. 72 proc. — to procent analfabetów wśród naszych 45 milionów mieszkańców, a procent ten podniesie się do ponad 82 proc. w okolicach wielkich posiadłości, gdzie mieszka i pracuje ok. 2/3 ludności Brazylii.

Jesteśmy półkolonią St. Zjednoczonych i prezydent Republiki, mieszkający w pałacu Cadete, w Rio de Janeiro, jest jak gdyby gubernatorem, przyjmującym rozkazy z Wall-Street, i Departamentu Stanu".

Ks.

Francuz o Kongresie Wrocławskim

W paryskim tygodniku „Action" z dnia 1—7 bm. Victor Leduc, uczestnik Światowego Kongresu Intelektualistów, kreśli w następujących słowach swe wrażenia z Wrocławia:

„Jest rzeczą trudną ocenić doniosłość wydarzenia w momencie, gdy się na nie patrzy. Pomimo to, dla kogoś kto brał udział w Kongresie, nie uiega żadnej wątpliwości, że Wrocław był terenem jednego z tych wielkich zgromadzeń publicznych, które wpływają na historię.



To, co powiedziano we Wrocławiu, znajdzie oddźwięk w sumieniach narodów i może zadecydować o kierunku, w którym ma pójść opinia światowa.

Zgromadzeni po raz pierwszy od dziesięciu lat przedstawiciele 45 narodów, myśliciele i postępowcy, zestawili dokument nieodpartego oskarżenia. W trakcie swobodnej wymiany zdań określili wszystkie siły ciemiężycielskie, które zagrażają kulturze i pokojowi, a nawet stało się jeszcze więcej, zdemaskowano bowiem wszelką obłudę i obwieszczono, że wojna jest już prowadzona w Grecji i Hiszpanii, w Palestynie, w Indonezji, w Viet-Namie i wszędzie tam, gdzie imperializm narzuca swe prawa. Większość interwencji obciążyła druzgocącą odpowiedzialnością politykę amerykańską i skłoniła narody do obrony swej niezawisłości narodowej, swej zagrożonej wolności i swych wartości umysłowych przeciw nowoczesnej formie kolonizacji.

Po Wrocławiu dalsze szerzenie bajki o rzekomym uprzywilejowaniu kultury „zachodniej" nie jest już możliwe. Przedstawiciele wszystkich krajów, uciskanych przez tych, którzy powołują się na tę kulturę „wyższą", przedstawiciele różnych ludów od murzynów amerykańskich do Vietnamczyków, położyli raz na zawsze kres temu kłamstwu.

Wszystkim umysłom niezależnym, wszystkim intelektualistom godnym tego imienia narzuca się teraz konieczność dokonania wyboru pomiędzy uległością wobec potęg finansowych, które niosą z sobą niewolnictwo, zniszczenie dla kultury i wojnę, a wspólną walką w jednej linii z tymi narodami, które są prawdziwymi twórcami kultury, inicjatorami wszelkiego postępu i naturalnymi obrońcami pokoju".

l. m.

Słuszny artykuł

Wyjątkowo trafny, słuszny i potrzebny artykuł zamieścił w ostatnim numerze „Przekroju" Kazimierz Kozniewski: artykuł nosi tytuł „Drażliwy problem" i dotyczy sprawy muzeum w Oświęcimiu. Niżej podpisany, podobnie jak autor artykułu zwiedził muzeum oświęcimskie z grupą zagranicznych gości kongresowych i z wizyty tej wyniósł te same spostrzeżenia i wnioski. Muzeum w Oświęcimiu jest wielką pomyłką. A jeśli nawet nie jest nią samo muzeum, to na pewno mylnym jest przekonanie, które żywi wielu naszych „patriotów" (m. in. obwożące wycieczki zagraniczne urzędniczki „Orbisu"), że muzeum to powinien zobaczyć każdy cudzoziemiec. Zupełnie słusznie dowodzi Koźniewski, że **grozy Oświęcimia**, ani przez gruntowny remont i rekonstrukcję byłego lagru, jak to ma miejsce we właściwym Oświęcimiu, ani przez zachowanie niszczejących ruin (Brzezinka) — odtworzyć się nie da. A bez tej grozy Oświęcim nie jest Oświęcimiem, dla zwiedzających, zwłaszcza nie związanych emocjonalnie z dziejami obozu jest męczący, nudny, nie wywołuje ani cienia tych uczuć, jakie pragnęlibyśmy w ludziach wywołać, pokazując im miejsce naszego narodowego męczeństwa.

„Doświadczenie uczy — pisze Kazimierz Koźniewski — iż atmosferę historyczną najgorzej oddają próby sztucznego zachowania autentyzmu, najlepiej — dzieła sztuki i dokumenty naukowe. O prawdzie Oświęcimia — jego atmosfery, a nie topografii — świadczyć będą akta spraw sądowych, rysunki dzieci, dokumenty zbierane w „Instytucie Zachodnim", „Apel" Andrzejewskiego, „Dymy nad Birkenau" Szmaglewskiej, „Pożegnanie z Marią" Borowskiego, „Ostatni Etap" Jakubowskiej — i to wszystko, co zrodzi jeszcze talent artystyczny. I to jest droga zachowania rzetelnej prawdy o „epoce pieców", a nie mimo woli zmieniający rzeczywistość, autentyzm.



I kto wie, czy za jakiś czas, gdy resztka Brzezinki rozwieje się z wiatrem, gdy już mało ludzi osobiście pamiętać będzie tamtą grozę, czy nie będzie należało zastrzec wstęp do Muzeum wyłącznie dla historyków a może nawet zburzyć oświęcimskie bloki, zaorać ziemię, zasiać zboże — postawić tam symboliczny cmentarz, gdzie rodziny mogłyby czcić swych zmarłych".

Zgadzamy się z wnioskami autora w całej rozciągłości.

r.m.

Zasługi wydawców

Witryny księgarskie od miesięca są zarzucone podręcznikami szkolnymi. Na temat podręczników „Kuźnica" zamieściła notę w poprzednim numerze. Jest rzeczą niewątpliwą, że te właśnie podręczniki dla szkół rozmaitego typu stanowią dopiero tło naszej produkcji księgarskiej — dzisiejsi uczniowie szkół powszechnych i średnich, to dzisiejsi lub jutrzejsi czytelnicy książek.

Z myślą o tej młodzieży pracuje Zakład Narodowy im. Ossolińskich, który podjął edycję „Biblioteki Narodowej". *Niejednokrotnie* podkreślałem znaczenie tego wydawnictwa. Gdy nie mamy pełnego wydania dzieł Fredry, ani Ignacego Krasickiego, jedynymi tekstami „Zemsty" i „Przypadków" Mikołaja Doświadczyńskiego" możemy rozporządzać w edycji tej właśnie „Biblioteki". Podobnie pożyteczną pozycją są wydane przez „Książkę" w ramach popularnej Biblioteki Pisarzy polskich i obcych. „Kroniki tygodniowe i wybór pism publicystycznych" Bolesława Prusa. Edycja ta ukazała się niezależnie od zbiorowego wydania Prusa, przygotowanego przez „Książkę".

Wydawnictwo Wł. Bąka w cyklu „Kraszewski na nowo odczytany" wydało ostatnio „Ulanę". Może warto by jeden lub dwa tomy tego cyklu poświęcić wyborowi prac podróżnych i studiów literackich Kraszewskiego, całkowicie dzisiaj zapomnianych?

W dziale przekładów z klasycznej literatury rosyjskiej otrzymaliśmy nowy tom Turgieniewa. Są to „Wiosenne wody", wydane przez „Wiedzę". Zastanawiam się. czy słuszna jest ta transkrypcja polska nazwiska wielkiego pisarza, jaką zastosowało wydawnictwo, a która brzmi: Turgeniew.

Wśród pozycji literatury naukowej warto zwrócić uwagę na wydaną przez „Książkę" znaną pracę Kautsky'ego „Tomasz More i jego „Utopia".

ph.

PRZEGLĄD PRASY

SPRAWY KONGRESU, który był niewątpliwie jednym z najważniejszych wydarzeń w naszym życiu umysłowym ostatnich lat, uzyskały już w prasie naszej dostateczne oświetlenie. Kongres omówiono nie tylko przygotowawczo, ale i sprawozdawczo. Większość istotnych przemówień została podana w druku.

Dobrze jednak czynią te pisma literacko-społeczne, które nie poprzestały na stronie reportażowej, ale starają się rozwinąć tezy kongresowe. Tak uczyniła „Wieś", która w obszernym nr 36-37 zamieściła pracę Józefa Chałasińskiego: „Intelektualiści w obronie pokoju". Artykuł Chałasińskiego odznacza się trafnością i spokojem w analizowaniu zawiłego problemu, jaki musiał niewątpliwie nasunąć się każdemu, kto śledził obrady wrocławskie. Zagadnienie to brzmi — w jaki sposób intelektualiści mogą zapobiec nowej wojnie? Chałasiński daje odpowiedź jasną, której nikt rozsądny, bez względu na jego stanowisko wobec poszczególnych zagadnień politycznych, nie może nie przyjąć: „Sprawa pokoju — pisze Chałasiński — to nie tylko sprawa niezależnej i uczciwej intelektualnej opinii publicznej świata. To także sprawa społecznego i moralnego autorytetu intelektualistów w masach ludowych każdego narodu i całego świata. Tylko w związku z ludowymi masami intelektualiści mogą stanowić siłę zdolną do skutecznego przeciwstawienia się wojennym tendencjom i do organizowania trwałego pokoju".

Artykuł, zamieszczony w tymże numerze „Wsi" p.t. „Aby żył gatunek pisarzy" pióra Marii Kowalskiej, jest jak gdyby rozwinięciem zacytowanej przeze mnie wyżej tezy Chałasińskiego. Autorka dobrze udokumentowanego artykułu wskazuje, że jedynie prawidłowy, t. zn. zgodny z postępowym kierunkiem historii, wybór dokonany przez pisarza daje mu rangę obrońcy kultury: „Nie ma on nic wspólnego z pisarzem — katastrofistą, płaczącym na gruzach ginącego świata wartości".

Wśród kilku interesujących prac, zamieszczonych w omawianym numerze „Wsi" (J. A. Król „Ostatnia klasa kapitalistyczna", J. Tepicht „Rozgrywka z agraryzmem jeszcze nie zakończona") należy wymienić obszerny artykuł Lecha Budreckiego o literaturze amerykańskiej. Duża erudycja i prawidłowa interpretacja formalnych cech nowej literatury amerykańskiej pozwoliły Budreckiemu uniknąć z jednej strony naiwności, z drugiej — demagogii. Artykuł jest rzeczowy, podkreślenie relatywności „chwytów", stosowanych przez pisarzy amerykańskich umożliwiło autorowi sumienną ocenę tej literatury i wylegitymowało słuszność jego zarzutów krytycznych.

Nie mogę niestety powiedzieć tego samego o artykule Tadeusza Chróścielewskiego „Poziemiańska inteligencja rosyjska", stanowiącym — jak pisze sam autor — komentarz do trylogii rewolucyjnej Aleksego Tołstoja. Zawarte na kilku szpaltach oceny okresu literackiego w Rosji między 1905-1918 rokiem są moim zdaniem nieco schematyczne. Natomiast jeśli potraktować tę pracę jako zbiór wiadomości o tym mało znanym u nas i jednostronnie w latach przedwojennych ocenianym okresie rosyjskiej literatury, to artykuł ten swoje zadanie spełnia.

Sprawy kongresu nie pozwoliły, bym w ostatnich moich kronikach omówił kilka pożytecznych wydawnictw, które z racji swojego przeznaczenia i terminów, w jakich się ukazują nie zamieściły materiałów kongresowych. Wśród tych wydawnictw są „Listy z teatru". — Materiał w nich zawarty nie jest jednolity i jak zawsze najcenniejsze wydają mi się obszerne kroniki, dzięki którym może się czytelnik zorientować, co się dzieje na świecie w dziedzinie spraw teatralnych. W nr 24 do prac zasługujących na uwagę należą rozważania Juliusza Kleinera o „Istocie dzieła teatralnego", zakończone apostrofą do krytyków, by oceniali dzieło teatralne nie tylko jako dzieło literackie, ale jako zespół elementów stanowiących o utworze dramatycznym. Poza tym wymienić należy Stefana Kadena pracę informacyjną o wybitnym dramaturgu francuskim Jean Anouilhu, którego sztuki były już grane w Polsce w okresie powojennym.

Wydaje mi się, że „Listy z teatru" powinny jak najbardziej dbać o materiały informacyjne, o kroniki, o poprawne recenzje z teatrów krajowych. Piszę to dlatego, iż nie sądzę, by nasza krytyka i literatura teatrologiczna była bardzo obfita i bogata. Nie sądzę też, by o teatrze mógł pisać każdy, kto potrafi pisać i chodzi do teatru. Być może nie byłoby rzeczą złą, gdyby „Listy z teatru" zamieszczały przekłady z teoretycznych prac zagranicznych, albo też, by przypominały w formie omówień lub przedruków prace teatrologów polskich. Pozwoliłoby to zorientować się czytelnikom, co już zostało w tej dziedzinie zrobione. Istnieją obecnie trzy pisma poświęcone sprawom teatralnym, a czwarte, jak mi wiadomo, ma niedługo powstać. Nie wiem, czy takie rozdrabnianie sił, i tak niezbyt licznych, jest słuszne. Wolałbym dwa duże pisma: jedno teoretyczne, drugie — informacyjno - kronikarskie. „Listom z teatru" w takiej sytuacji przeznaczałbym tę drugą pozycję. Póki jednak nie ma tego wyraźnego rozgraniczenia chwalmy Wojciecha Natansona za to, że od trzech lat wydaje pismo, a czyniąc to, oświadczmy wyraźnie, że nie dajemy zgody na treść wszystkich artykułów, jakie „Listy z Teatru" w ciągu swojego trzyletniego istnienia wydrukowały.

ph

Redaguje: Zespół „Kuźnicy". Wydaje: Spółdzielnia Wyd. „Czytelnik"
REDAKTOR NACZELNY: STEFAN ŻÓŁKIEWSKI.
Redaktor naczelny przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 13

Adres Redakcji i Administracji: ul. Piotrkowska Nr 96 — Telefon 204-75

CENA OGŁOSZEŃ: Za 1 mm na 1 szpaltę 40 złotych

WARUNKI PRENUMERATY:
Miesięcznie zł 80.—; kwartalnie zł 240.—; półrocznie zł 480.—; rocznie zł 960.—.
Należność za prenumeratę należy wpłacać
do P. K. O. konto VII—567 „Prenumerata Kuźnicy"

Drukarnia Nr 4 Sp. Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik" — Łódź, Żwirki 2.
D-01930